N. 31. WARSZAWA d. 21 Lipca (3 Sierpnia) ROKU 1872.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15.— w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Do Albumu

pani Seweryny D. [1]

Przed latyśmy oboje wraz o jednéj porze,
Stanęli do roboty na ojczystéj niwie,
Obojeśmy z jednakiem sercem w Imię Boże
Według sił pracowali chętnie i żarliwie.
A choć w równym lat ciągu, mimo równe chęci,
Plon wcale niejednaki nam zdarzyły Nieba,
Choć twój wielkiem bogactwem ludzkie oczy nęci,
A mnie się za ubóstwo swego wstydzić trzeba,
Jednak dziś, gdy rodacy wieńczą twoje skronie
Promienne zasłużoną dobrze piękną sławą,
To i ja też skwapiiwie cisnąc się w ich grono,
Z serdecznym dla cię hołdem, sądzę że mam prawo
Tem się chlubić, czem los mię szczęśliwy zaszczyca,
Że przecież jestem jednym z téj Bożéj czeladzi,
W pośród któréj Tyś dzisiaj niby przodownica,
Co to z wiankiem żniwiarzy w dwór pański pro-
[wadzi.

Adam Pług.

[1] Na uczczenie zasług pani Seweryny D. w dwudziestą-piątą rocznicę rozpoczęcia pracy literackiéj, towarzysze jej i bracia po piórze zebrali album z fotografiami i ze stosownemi przypisami, z których jeden p. Adama Pługa w piśmie naszem pomieszczamy. Red.

ZE WSPOMNIEŃ KOBIETY

POWIEŚĆ

ORYGINALNIE NAPISANA

przez

Marję Dekalk.

(Dalszy ciąg.)

Odtąd lubo zawsze wiele rozmawiałam z Jarosławem, straciłam jednak dawną śmiałość żartowania z nim jak z drugim bratem, i rumieniłam się ciągle bez żadnej napozór przyczyny.

Cały miesiąc przebyliśmy razem. Zanadto wiele czytałam powieści, abym nie umiała uczuciu memu nadać właściwego nazwiska. Każdego wieczoru cichutko rozmyślając zdarzenia dnia całego, szeptałam sobie: że kocham Jarosława, tak jak mamę i brata kocham go bardzo, ale nigdy nie powiem o tem nikomu.

Czasem pragnęłam, aby jakieś zdarzenie, jakieś nieszczęście go dotknęło, a wtedy ja z narażeniem własnego życia poświęcam się aby go uratować, a on mi dziękuje z uniesieniem i nazywa swoim aniołem. Tylko zakończenie zawsze mię kłopotało. Trzeba było, abym po odebraniu tej nazwy, skonała z wejrzeniem zwróconem na niego, ale myśl na rozpacz mateczki i Marjana, wiecznéj z niemi rozłąki, pobudzała mię do płaczu. Nie chciałam więc umierać, a Jarosław miał zawsze wyjść z niebezpieczeństwa szczęśliwie.

Nasuwało mi się wprawdzie jedno zakończenie, ale wtedy z płonącą twarzą kryłam głowę w poduszki, i zasypiałam nie doznawając widzenia.

Pewnego dnia gorąco było nieznośne, niebo zachmurzone groziło burzą ponurą, ciszę przerywało niekiedy tchnienie palącego wiatru. Niezdolna do żadnego zajęcia, siedziałam w altance marząc jak zawsze, ale pod wpływem ciężkiej atmosfery—dziwne jakieś tworząc widziała. Altana ocieniona dzikiem winem była przegrodzona, miała dwa małe z zielonemi ścianami liści pokoiki, i tak gęsto obrosła, że można było pozostać w jednym z nich, nie będąc przez zasłonę wijącej się rośliny spostrzeżoną. Zaledwo kilka chwil upłynęło, gdy obok mnie usłyszałam rozmowę. Marjan i Jarosław weszli do drugiego pokoiku altany. Ciekawość mię przykuła do miejsca. Marjan mówił poważnie:

— Propozycja twoja, mój drogi, zdziwiła mię bardzo. Jesteś jeszcze tak młody, a lubo uznaję twe zalety i niezaprzeczoną wyższość, nie wiem jednak czy należy ci już ten ciężar brać na swoje barki.

— Wiesz Marjanie, z jak poważnej strony zapatruję się na stanowisko obywatela, męża i ojca, a to nie zmienia postanowienia mego, chociaż uważam go za wyjątkowo pożyteczne tylko dla mnie. Jam już dojrzał duchem, i dla tego wcześnie pragnę zacząć pracować stale na niwie mych ojców i mieć własne gniazdko.

— Ale czemu chcesz brać za towarzyszkę dziecię, prawdziwą ptaszynę?—mówił mój brat.

— Bo ją kocham! bo tę duszyczkę młodą łatwo będzie prowadzić i urabiać do pięknych i szlachetnych celów. Tam niezliczone skarby spoczywają jak mirjady uśpionych aniołków, jak pączki kwiatów, w mgle porannej, które potem rozwiną się w całym wdzięku.

— Przy blasku słońca—dokończył Marjan. O! tak ty będziesz dla niéj słońcem, mój drogi! Uciekłam z altany. Głowa mi płonęła, ręce były zimne jak lód.

On się chce żenić! brzmiało mi w uszach, i tak niewysłowiony ból ścisnął mi serce, taka rozpacz ogarnęła mię, że biegłam jak bezprzytomna tłumiąc łkania rwące mi piersi.

— Mój Boże! mówiłam sobie, on pojedzie, ożeni się.. i zapomni o dawnej znajomości! Nawet go już nigdy nie zobaczę, bo jego żona jakaś pewno wielka pani

nie zechce nawet spojrzeć na biedną dziewczynkę, którą znał niegdyś jej piękny, szlachetny mąż, kiedy jeszcze był kawalerem. Oh! ona pewno nigdy nie pomyśli o tych czasach, boby jej żal było tych chwil wydartych jej szczęściu, w których inni zwracali jego uwagę. Jaka ona szczęśliwa!.. jak ona musi ciągle dziękować Bogu, że ją wybrało takie serce najwyższego ukochania godne!...

A potem płakałam, mówiąc sobie że nikt go tak jak ja kochać nie potrafi, a ona pewnoby nie była gotową poświęcić dla niego życia! Nienawidziłam jej w tej chwili!

Szum rzeki wyrwał mię z tego zaczarowanego koła przykrych myśli. Stałam nad brzegiem Warty; ołowiany koloryt nieba odbijał się w gładkiej wód powierzchni i zapatrzyłam się w te szare nurty płynące u stóp moich. Opodal uwiązana przy drzewie łódka, kołysała się lekko. Dziwna chęć przyszła mi do głowy, wskoczyłam do łódki i zaczęłam odwięzywać przytwierdzający ją do brzegu postronek. Zapomniałam o matce i bracie. Pochylona odplątywałam węzły, wiosło leżało obok mnie, chciałam popłynąć gdzieś daleko, nie zważając na głuchy odgłos grzmotu, na słabą umiejętność kierowania łódką, na niebezpieczeństwo i niespokojność pozostałych we dworze. Jeszcze jeden węzeł i byłabym na pełnej rzece, gdy nagle usłyszałam głos wołającej mnie po imieniu.

— Panno Janino!

Podniosłam oczy: pan Jarosław stał na brzegu.

— Chwyciłam wiosło; łódka zadrżała, przechyliła się i byłaby się wywróciła, lecz silna ręka uchwyciła postronek, i pan Jarosław wskoczył do łódki. Nic nie mówiąc, wziął odemnie wiosło, poruszył niem szybko, oddaliliśmy się od brzegu.

Wychyliłam się odwrócona, aby ukryć łzy co mi płynęły strumieniem. Czułam się bardzo upokorzoną i nieszczęśliwą, nawet nie mogłam rozpaczać swobodnie.

— Pani płacze, zapytał Jarosław.

Milczałam, nie zwracając głowy.

— Ah! Janko! co tobie?... na Boga!... zawołał przestraszony.

— Nie nazywaj mię pan tak!.. rzekłam nareszcie.

— Czemu? Czy już nie jestem uważany za przyjaciela? Czy straciłem zaufanie i obiecaną mi przyjaźń? I dla czego to, dla czego?

Pochylił się ku mnie, patrząc mi w oczy z wyrazem serdecznego uczucia. Nie mogłam dłużej tłumić, co mi w sercu wrzało bólem głębokim. Zasłoniłam twarz rękami i szepnęłam wśród łkania:

— Pan... pan się wkrótce ożeni i zapomni o znajomych i przyjaciołach...

— Kto ci to powiedział?—zawołał w najwyższem zdziwieniu.

— Ależ, odparłam zmięszana i zarumieniona: ja sama... przypadkiem .. usłyszałam w altanie!..

Jakiś nieokreślony wyraz mignął w oku Jarosława.

— Sądziłaś więc, że ja się żenię?—spytał.

— Tak!.. wyjąknęłam cicho.

— I dlatego płaczesz i chciałaś popłynąć sama, choć burza grozi, a wiosło za ciężkie na drobne rączęta?..

Łzy były moją odpowiedzią.

— O! mój złoty ptaszku! tylko całe życie najtkliwszej miłości, zdoła wynagrodzić te łezki brylantowe co płyną napróżno!... powiedział melodyjnym głosem Jarosław, obejmując mię drugą ręką wolną od wiosla— i przyciągając do siebie.

Patrzyłam na niego ze zdumieniem!..

— Nie słyszałaś więc, że to o tobie była mowa? że ty mój najdroższy aniele zawładnęłaś mojem sercem, i prosiłem Marjana, aby się wstawił do mateczki o udzielenie mi pozwolenia starania się o twą ukochaną osóbkę!.. mówił tuląc mię do siebie.

Błyskawica rozdarła niebo. Z przestrachu zarzuciłam obie ręce około jego szyi i ukryłam głowę na jego piersiach.

Za chwilę przybiliśmy do brzegu. Jarosław wyniósł mię z łódki i spytał cicho.

— Janko! kochasz mię—bardzo?..

— Bardzo!.. szepnęłam i czując że rumieniec twarz mi oblewa, chciałam pójść naprzód, ale Jarosław położył moją rękę na swojem ramieniu i objąwszy mię poprowadził do dworu.

Tam uklękliśmy przed niespokojną mateczką, która rozpłakała się i pobłogosławiła nas, nie mówiąc słowa. Potem jednak, gdy pierwsze minęło wzruszenie, mówiliśmy wszyscy wiele i projektowali na przyszłość.

Jarosław miał zamiar za rok dopiero starać się o moją rękę, chciał tylko prosić mateczki o łaskawe względy i Marjanowi powierzył tajemnicę.

Nadspodziewanie wszystko inny wzięło obrot.

Mimo to mateczka naznaczyła termin ślubu dopiero za rok, najprzód ze względu, że nie miałam jeszcze skończonych lat szesnastu, a potem, Jarosław musiał urządzić świeżo daną mu przez ojca wioskę i prosić rodziców o zezwolenie na nasze małżeństwo.

Od jesieni i Marjan zdawszy egzamin, powracał do domu; więc mateczka nie zostawała samą.

Ten rok był najpiękniejszym rokiem mego życia. Kochałam Jarosława całą duszą, całą potęgą uczucia młodej dziewczyny. Kochałam go tak bardzo, że mateczka i Marjan dziwili się gwałtowności tego przywiązania, téj miłości na pół szalonéj. A jednak oni nie znali jeszcze całéj głębi mego serca, nie sądzili nawet, abym tak kochać była zdolna.

Jarosław przyjeżdżał co miesiąc. Odjazd jego zabierał mi połowę wesołości i życia! Kochałam bardzo moję mateczkę i brata, ale narzeczonego jeszcze bardziéj! Młoda i gwałtowna nie znałam tego spokoju, który równoważy uczucia i nadaje im łagodne objawy, bez męczących wybuchów. Nie umiałam panować nad sobą i mimowolnie smuciłam moją drogą mateczkę, która mówiła:

— Jéj ciało tylko błąka się tutaj, duszę i serce zabrał nam Jarosław.

Mój narzeczony był najtkliwszym z kochanków. Miłość jego była poważną, ale prawdziwą i głęboką,—charakter jego spokojny, szlachetny, nie był skłonny do manifestowania zewnętrznemi oznakami stanu duszy i uczuć, ale stały i nieugięty, umiał kochać i być wiernym. Jarosław nie lubił okazywać przy świadkach uniesień swéj czułości, i nawet dla mnie napozór był dość chłodny; lecz gdy zaczęłam mu wyrzucać obojętność, jedno spojrzenie jego pięknych oczu, zaprzeczało memu oskarżeniu i przekonywało mię znowu o miłości tego ubóstwionego przezemnie serca.

Na miesiąc przed dniem ślubu przyjechał ojciec Jarosława, wraz z nim, dziękując mamie za przyjęcie syna, i tłumacząc żonę, że z powodu delikatnego zdrowia nie towarzyszyła mu, aby poznać przyszłą synowę. Był to człowiek w średnim wieku, wysoki, ogorzały, wyraz jego twarzy był surowy i poważny. Wzbudził we mnie obawę, nieśmiało też odpowiadałam na jego zapytania, i wolniéj odetchnęłam, gdy zabawiwszy dwa dni odjechał, pozostawiwszy Jarosława.

Roześmiał się ze mnie, gdym mu wyjawiła jakiem uczuciem natchnął mię przyszły ojciec, i powiedział, że powinnam pamiętać, że tak wyjątkowo wzbudzających odrazu sympatję ludzi jak matka i Marjan, to mało znajdzie się na świecie.

Więc uzbrój się w odwagę Janko, bo wśród bardzo rozmaitego otoczenia żyć będziemy, dodał z uśmiechem.

Nakoniec nadeszła uroczysta chwila mego ślubu.

—Według życzenia Jarosława odbył się w Częstochowie, zkąd zaraz w godzinę pojechaliśmy do *swojego domu*. Mnie się zdawało, że to we śnie widziałam zapłakaną mateczkę, słyszałam rzewne pożegnania domowników i wyjeżdżałam z tego ukochanego dworku, gdzie żyłam szczęśliwa, błogiem, swobodnem życiem dziecka, kochanego przez najtkliwszą matkę i brata. Dziś rozrywał się ten węzeł, opuszczałam dom dla wstąpienia w inną drogę nieznaną mi zupełnie, a choć miałam ją przejść obok wybranego sercem, smutno mi było jednak, i ze łkaniem wsiadłam do mającego nas odwieźć na stacją powozu. I znów jak cenny obraz, mi gnał przed memi oczyma poważny kościół i dźwięki organu, i nie wiem wcale kiedy znalazłam się przed ołtarzem i wymówiłam słowa przysięgi.... Potem nastąpiło pożegnanie z mateczką, która bardzo płakała, choć uśmiech miała na ustach. Potem jeszcze uścisk Marjana i gwizd łokomotywy rozdzielił mię od nich na zawsze.

Jechaliśmy długo, ciemno już było gdyśmy wsiedli do czekającego nas powozu, pożegnawszy ojca który był na ślubie, znów tłumacząc nieobecność żony słabością. Ujął mię jednak okazaniem wielkiego do syna przywiązania, tak, że zapomniałam w części pierwsze wrażenie. Pożegnawszy go, pojechaliśmy do Klonowa, wsi Jarosława. Cichy, letni wieczór dodawał uroczego wdzięku naszéj podróży. Nakoniec powóz zatrzymał się przed gankiem dużego dworu i Jarosław podając mi rękę rzekł cicho:

— Przybyliśmy do naszego domu, Janko!

Przytuliłam się do jego ramienia, którem mnie obejmował, i tak wstąpiłam po raz pierwszy w progi mieszkania mego męża. Przeszliśmy kilka obszernych pokoi, nie widziałam jednak ich umeblowania, nie zajmowało mię wtedy nic, oprócz Jarosława. A jednak ta obojętność zdziwiła go i spytał mię po chwili:

— Czy ci się tu podoba, Janko najdroższa?

— Mnie się wszystko będzie podobać, co tobie się podoba, ale dziś nie mogę nic ocenić.... odparłam, i dokończyłam tylko rumieńcem, bo pomyślałam że mi nie wypada powiedzieć, że ja tylko na niego ciągle patrzeć pragnę.

Kilka dni minęło jak jedna chwila. Zdawało mi się, że niebo udzieliło nam coś z rajskiéj szczęśliwości i rozkoszy. O! gdyby tak zawsze być mogło, gdybyśmy zawsze żyli tak sami, bez ciekawych oczu obojętnych osób, bez powszechnéj troski i drobnych życia kolców!

Powiedziałam to sobie, wybierając się na wizytę do rodziców, którą nam złożyć wypadało. Trwoga mię ogarnęła, lękałam się stanąć przed matką Jarosława, kobietą, według méj wyobraźni dumną i surową. Bałam się krytyki tego eleganckiego świata, którego dotąd wcale nie znałam. I nie dziw,—miałam dopiero lat niespełna siedemnaście!

Jarosław przestrzegł mię, abym się ubrała starannie, bo dzień świąteczny zgromadzał zazwyczaj całe sąsiedztwo w salonie jego rodziców. Tem niechętniéj opuszczałam nasz cichy domek, w którym tak miło pierwszą niedzielę naszego pożycia moglibyśmy przepędzić!. Czarowne obrazki, pogawędki przesuwały mi się wciąż przed oczyma, i z mimowolnem westchnieniem ubierałam się w pyszne lila jedwabie i modne koronki, nie zachwycając się nawet bogatemi brylantami, darem Jarosława, i kładąc je na sie-

bie z przymusem. Mały komplimencik mego pana, z powodu téj wielkiéj tualety, rozweselił mię trochę, ale te znów nieznośne garnirunki nie dozwoliły mi podziękować mu należycie; i niemiłe wrażenie wróciło chmurząc, po raz pierwszy mój e jasne niebo mężatki.

W pół godziny wysiadałam za pomocą Jarosława z karety, i drżąca jak listek wchodziłam na schody kamienne wiodące do pokoi. Ojciec wyszedł na nasze spotkanie, i powitał nas dość serdecznie, lubo bez uśmiechu Roztworzył drzwi salonu, a ja cichą ale gorącą zasłałam do niebios modlitwę, i zbierając wszystkie siły, wszedłszy nareszcie znalazłam się wśród licznego towarzystwa. Wtedy podniosła się z kanapy, średniego wzrostu, ciemno ubrana kobieta i postąpiła ku nam kilka kroków. Poznałam że to matka mego męża, i pospieszyłam ją powitać. Dotknęła ustami mojego czoła, spojrzała przenikliwie pięknemi ciemnemi oczyma, i biorąc mię za rękę powróciła do kanapy!

— Moja synowa!—rzekła przedstawiając mię całemu towarzystwu.

Potem usiadła na dawnem miejscu, i zaczęła rozmowę ogólną o pogodzie i urodzajach tegorocznych. Zimno mi się zrobiło! Zajęłam wskazany mi fotel, i rozpacznie obejrzałam się za Jarosławem. Ten widział mój ruch, lecz otoczony panami, musiał dokończyć powitań i gawędy.

Kilka minut upłynęło, dla mnie kilka wieków męczarni. Czułem całą nienaturalność mego położenia, chciałam się wyrwać z tych pęt robiących mię śmieszną postacią lalki w obec całego towarzystwa, które swobodnie rozmawiało nie opuszczając ze mnie oka. Zwróciłam się w tę i ową stronę, upatrując sposobności do zmienienia méj nieruchoméj pozycji posążku, ale zewsząd tylko widziałam obojętną ciekawość.

Nakoniec zdobyłam się na akt heroiczny, i poprosiłam matki, aby mię poznała z obok siedzącą damą.

Jéj blada, miła twarz pociągnęła mię ku sobie niewymownem uczuciem sympatji. Matka uniosła się nieco z kanapy, i rzekła:

— Janina z Orzelskich, pani Karolina Z. twoja najbliższa sąsiadka, dodała zwracając się do mnie.

Pani Karolina przyjaźnie podała mi rękę. W łagodnem jéj spojrzeniu czytałam zrozumienie mojéj przykréj sytuacji. Natychmiast zaczęła ujmującą rozmowę, w któréj biorąc udział, przychodziłam nieco do siebie.

Po chwili przysunął się do nas Jarosław. Twarz jego okazywała zupełne zadowolnienie. Serdecznie powitał moją nową znajomę i zapytał o zdrowie?

— Wcale nieźle się trzymam! odparła uśmiechając się.

— Spojrzałam się uważnie i dostrzegłam, że w istocie na jéj twarzy młodéj jeszcze był ślad cierpienia, a cichy głos i wątła postać, kazały się domyślać słabości piersiowéj.

Zainteresowana, żywo otwierałam już usta aby się o coś zapytać, gdy nagle szelest gwałtowny zwrócił moją uwagę,—i zdziwiona zamilkłam. Przedemną stała młoda kobieta, prawdziwą sprzeczność stanowiąca z panią Karoliną. Biała, rumiana, pulchna, potrząsała ciemnemi lokami spadającemi w nieładzie na alabastrowe ramiona, przejrzystą okryte bluzką, i pokazując perłowe ząbki, mówiła marszcząc czoło i śmiejąc się razem:

— Ah! ty niedobry kuzynku Jarosławie! jakże można było zapomnieć o mnie, i nietylko nie powitać mię wcale, ale co więcéj nie poznać mię z twoją śliczną żonką!.. Nie przebaczę ci tego nigdy!.. jamais, au grand jamais!.. i tupnęła drobną nóżką. Ah! więc ja sama zawrę znajomość. Jestem twego męża, et par conssequent i twoją kuzynką, Dosią, która jest tobą zachwycona, i po godzinnéj kontemplacji twojéj czarownéj twarzyczki, przychodzi przedstawić się i polecić twym względom!

Wymówiła to wszystko jednym tchem. Chwyciła mię za rękę i dodała:

— A teraz kiedy już wiesz wszystko o mnie, mów mi o sobie,—a najprzód jakie twoje imię. Piękność czy Gracja, Mignonne ou Charmante?

— Janina!—odparłam śmiejąc się, ożywiona wesołością tryskającą z mojej milutkiéj kuzynki.

— Sliczne imię!—a teraz zabieram cię par force twemu mężowi, na którego się gniewam na wieki!

Chodźmy usiąść na tej małej „causeuse"—zawołała prowadząc mię oszołomioną potokiem jej wymowy, ale serdecznie jej wdzięczną za niespodzianą pomoc. Jéj pochwały choć wydawały mi się przesadzone, trafiły zawsze do celu i ośmieliły mię nieco.

— Ale bo widzisz, mojo Janko, tak cię będę nazywać, vous feriez un charmant garçon avec vos yeux noires, w których błyskają płomienie. Widzisz Janko, ja byłam niesłychanie ciekawą poznać cię i ocenić gust Jarosława.

— I nie potępisz go bardzo?—spytałam wesoło.

— Ah! przeciwnie! znajduję że jest prawdziwym znawcą piękności!....winszuję mu z całego serca.

— Żartujesz sobie ze mnie Dosiu, nie godzi się! powiedziałam poważnie.

— Ale daję ci słowo że nie żartuję wcale! to święta prawda! n'est-ce pas? zagadnęła w przelocie młodego człowieka o pięknej twarzy, który naturalnie pospieszył za nami, aby dowiedzieć się co znaczyło to pytanie.

— Ma chère, mówiła żywo kuzynka sadowiąc się na kanapce,—oto także twój kuzyn pan Amilkar, ale dość daleki. Nie odpowiedziałeś mi pan! zwróciła się do stojącego młodzieńca.

— Pragnąłbym wiedzieć o co pani pytała?

— Jakiżeś pan niedomyślny, odparła Dosia krzywiąc usteczka. Powiedz czy to nieprawda, że pani Jarosławowa jest prześliczną?

— Dosiu!—zawołałam zmięszana.

Pan Amilkar zwrócił na mnie badawcze wejrzenie, które wywołało gorący rumieniec na moją twarz i wyrzekł:

— Vous avez parfaitement raison, madame!

— Widzisz!—a trzeba ci wiedzieć, że pan Amilkar, zaczęła kuzynka.

— Pozwól pani! nie przyspieszaj zdaniem swojem niekorzystnego sądu, jaki pewno wyda o mnie pani Jarosławowa! przerwał p. Amilkar.

— Dla czego pan tak na pewno sądzi, że będzie niekorzystnym?—spytałam go uprzedzając jakiś żarcik Dosi, który już błyszczał w jej złośliwym uśmiechu.

— Niestety! zostałem pani przedstawionym przy świetle złej gwiazdy....odparł z udanem westchnieniem.

Spojrzałam się zdziwiona, nie wiedząc co właściwie złą gwiazdą nazywa.

— To dla mnie ten epitet! zawołała Dosia,—niewdzięczny. Złą gwiazdą mię mianuje, czyż nie dałam panu w téj chwili dowodu zaprzeczającego wszelkiemu oskarżeniu? czyż nie raczyłam ci wybornéj udzielić sposobności, zbliżenia się do słońca dzisiejszego zgromadzenia?

(d. c. n.)

TRICOTRIN

PRZEZ

OUIDA

STUDJUM Z LITERATURY ANGIELSKIÉJ

PRZEZ

Walerją Marrené.

Tricotrin zapyta może nie jeden: cóż to znaczy? Jestże to nazwa człowieka, miejsca, czy też jaka fantazja autora? Tricotrin jest to tytuł powieści i równie szczególny jak pseudonim Ouida, pod którym ukrywa się indywidualność pełna talentu, dowcipu, bystrości i czegoś więcéj jeszcze nad to wszystko,—zacności.

Jeśli w dzisiejszéj literaturze, pełno pierwszorzędnych artystów schlebia fałszywym ideom i złym instyktom mass, jeśli przeciw zgubnemu prądowi użycia, nie umie nic przeciwstawić, jak przykry obowiązek mający za wyzucie się wszystkich rozkoszy ziemskich, otrzymać dopiero nagrodę w niebiosach; Angielski autor nie wahał się przeciwnie zajrzeć śmiało wszystkim ułudnym wieńcom sławy, wielkości, bogactwa, a obok nich postawił proste uciechy człowieka, co zrzekł ich się dobrowolnie, i zadość czyniąc szlachetnym instynktom swoim, zaćmił konwencjonalne węzły świata i szukał szczęścia tam, gdzie jedynie znaleźć je można, w zupełnym rozwoju swojéj natury, w harmonii zewnętrznéj, w nieograniczonéj wolności tych, co sami sobie wystarczyć umieją.

Jestto nie mała zasługa; atmosfera moralna naszego wieku przesiąkła jest miazmatami zgubnemi, które nieraz mimo wiedzy i woli, wpijają się w mózgi ludzkie, i zarażają umysły. Wieki zeszłe zostawiły nam tę smutną spuściznę. Zniesiono wiele nadużyć, przesądy zostały we krwi pokoleń, i przechowują się pod osłoną tradycji, zwyczajów. Mało kto oswobodzić się potrafił z pod ich wpływu. Poglądy angielskiego autora najzupełniéj wolne są od nich; ogarnia on wielką miłością, wszystko co błądzi, cierpi i upada, fałszu tylko znieść nie może ten jeden grzech u niego nie ma przebaczenia. Czy fałsz ten znajduje się na wyżynach społecznych, czy też pomiędzy maluczkiemi téj ziemi?

Bo maluczkich umiłował on nadewszystko, lubi przebywać pomiędzy ludem,—jego proste obyczaje, szczere uciechy, uczciwe instynkta, praca, cierpliwość, niedostatki nawet maluje genjalném piórem. Pomimo to nie popełnia żadnéj niesprawiedliwości; chata nie góruje cnotą nad pałacem, tu i tam są ludzie, mający w gruncie stosownie do środka społecznego w jakim żyją, jednaką summę cnót i przywar. Tylko cnoty ludu są może sympatyczniéj opisane, może autor znajdował, że ten kto potrafił zostać czystym w pośród co chwilnych pokus ubóstwa, ma większą zasługę, niż ludzie mający wszystko czego pragnąć mogą. Znał może z doświadczenia, że powodzenie hartuje serca na cudzą nędzę, i obojętnemi ich czyni, że sztuczne potrzeby zacierają poczucia prawdy i sprawiedliwości. Sympatje jego pod tym względem są wyraźne, a jednak znać z wielu szczegółów téj książki, że autor jéj należał do klasy uprzywilejowanéj, że znał przynajmniéj równie jéj cnoty i usterki, jak prostych pracowników.

Z tego powodu można go posądzić, że należy do téj frakcji arystokratycznéj, która w Anglii napisała na swoim sztandarze wyraz *pojednanie*, i stara się czynnie o zbratanie klass rozszerzając oświatę i dobrobyt. Wielu czyni to zapewne z dobrze zrozumianego własnego interesu; nie ma bezpieczeństwa na

szczytach tam, gdzie tłumy ciemnych i nędznych zalegają głębie pełne zawiści i złych instynktów. Przemoc wstrzymuje ich do czasu, dopóki niezrozumieją sił własnych, ale gdy je poznają... Chwila ta strachem mrozi krew w żyłach. Jest to nieustanna groźba, złowrogie widmo wskazujące wielkim tego świata, miecz Damoklesa, zawieszony na włosku nad ich głowami, i przypominające im, że próżno ludzkość chciałaby zrzucić z siebie węzeł solidarności. Na przekor woli tysiąców, on istnieje i istnieć musi. Wszechmocność postawiła go na straży świata.

Te uwagi odprowadziły mnie daleko od powieści, ale pozornie tylko: jest to bowiem właściwością każdéj książki, iż myślić każe i tysiące kwestji nasuwa. Tricotrin jest jedną z takich. Bystry, głęboki, spostrzegawczy umysł autora, na każdéj karcie wyrył swoje piętno i przemówił do umysłu czytelnika; powieść jego jak wszystkie te co głęboko wnikają w życie, porusza najskrytsze fibry ludzkiego ducha, wstrząsa każdą z władz jego.

Rzecz dzieje się we Francji, nad brzegami Loary. Widać naród ten ruchliwy pojętny, obdarzony bystrą inteligencją i wesołém usposobieniem, pochodzącém zarówno z rassy i klimatu, wydał się autorowi bardziéj sympatycznym, lub stosowniejszym do obranego przedmiotu, niż szorstki i ciężki lud Angielski. Ideał arystokratyczny przedstawia jednak Lord Exmere, wielki Pan i mąż stanu, osiedlony czasowo we Francji, gdy tymczasem ideał ludowy uosabia rybak Bruno, stara kobieta Villeroy i wieleinnych sympatycznie nakreślonych postaci. Tricotrin'a tylko nie wiem do jakiéj klassy i narodu zaliczyć. Ojciec jego był lordem angielskim i zaślubił prostą rybaczkę z kraju Basków, ale prędko pożałował szalonego ożenienia; kobieta przeniesiona w inny kraj, nie mogąc zastosować się do nowego położenia, znienawidzona przez męża, osamotniona, nieszczęśliwa, umarła wkrótce jak kwiat, któremu brakło słońca, lub lotna gemsa zamknięta w klatkę; piersi jéj pragnęły wolnych wichrów morskich, fal i błękitu, serce wyrywało się do chwil w których bosa z włosami puszczonemi na wolę wiatru, walczyła z prądami na kruchéj łodzi. Wielkość ciążyła jéj jak kajdany.

Instynkta te wzbudziły się w synie, chłopiec wzrastał niecierpiany od ojca, piękny, dumny i silny jak bohater starożytny. Lord ożenił się po raz drugi, teraz już stosownie do swego położenia, i miał znowu syna, ale bogactwa jego i tytuły miały przejść prawem pierworodztwa na dziecię rybaczki. To przyprowadzało go do wściekłości, czyniło złymi niesprawiedliwym dla starszego chłopca. Pomimo to jednak, bracia kochali się pomiędzy sobą; były to dwie tak szlachetne natury, że nawet postępowanie ojca poróżnić ich nie mogło, starszy rozciągał nad młodszym cierpliwą, niezmordowaną opiekę, ten wzajem spoglądał na niego z zachwytemi miłością.

Wreszcie syn rybaczki przyprowadzony do rozpaczy, hańbiącém, kradzieży klejnotów familijnych, podejrzeniem, które ojciec śmiał na niego rzucić, przepadł bez wieści nad brzegiem niezgłębionych wód rzeki płynącéj w ogrodzie zamku Exmerów,—znaleziono tylko część jego ubrania. Ciała nie wydostano, ale pomimo to nikt nie wątpił, że rzucił się w przepaść. Miał wówczas lat szesnaście. Rzeczywiście umarł on dla świata, do którego należał; prawa, tytuł i bogactwa jego spadły na brata, on nigdy nie odezwał się o nic, a ludzie zapomnieli wkrótce, że Lord Exmere miał starszego syna,—wieść o nim została się tylko w podaniach miejscowych i w pamięci brata, który nigdy zapomnieć go nie mógł.

Wstęp ten konieczny, nie należy jednak do powieści, czytelnik dowiaduje się o nim z rozmaitych faktów, i na ostatniéj karcie dopiero ma rozwiązanie zagadki exystencji Tricotrina.

Syn rybaczki pożałował życia, zostawił po za sobą wszystkie dary fortuny, które tak ciężkiemi były dla niego i dla matki, zachował to czego niepozazdrościła mu złość ludzka: młodość, piękność, siłę, inteligencję, skarby nieporównane z niczém dla tego co je zrozumieć może. Sam jeden ubogi, bez nazwiska i rodziny, przyjął nazwę Tricotrin'a, i zasłynął pod nią więcéj niż nie jeden król i wojownik.

Prowadził życie wędrowne, zarabiając na skromne utrzymanie, raz jako wyrobnik nie cofając się przed żadną robotą, to znowu jako artysta ze skrzypcami, Stradivariusa pod pachą, grając czasem dla rozradowania tłumów, lub w samotności leśnych głębi, pojąc się harmonją roznoszoną przez echa dalekie. Bogata południowa natura, odzywała się w nim w całéj pełni, potrzebował mało, a musiał wynaleźć sobie żywioły szczęścia, znaczył wszędzie przechód swój dobremi czynami, pomocą, pociechą, dobrą radą i wsparciem. Zjawiał się wszędzie tam gdzie było nieszczęście, gdzie potrzeba było silnéj ręki i nieustraszonego serca, nie wahając się nieść ofiarę własnego życia dla uratowania bliźnich. To też imię Tricotrin'a świętem było u ludu, słowo jego było wyrocznią, a miłość ogólna stała się w ręku jego potęgą.

Ale o tém wszystkiem dowiadujemy się jako o przeszłości Tricotrin'a, jego samego przedstawia nam autor po raz pierwszy wśród rozkosznego jesiennego południa nad rzeczką w głębi lasu.

Był to człowiek lat około czterdziestu, ubrany w płócienną bluzę, u nóg jego leżał roztwarty worek, butelka wina i skrzypce. Siedział na pniu drzewa; a słońce przeglądając przez gałęzie wysoko, padało promieniami na liście, i trawy, rzucając na nie barwę złota i rubinów, oświecając całym blaskiem głowę jego. Była to prześliczna homeryczna głowa, śmiała, królewska, niedbała, szlachetna, miała coś lwiego w swéj potędze i orlego w wyrazie. Podobną twarz artysta wybrałby na model Hektora lub Febusa. Rysy jéj były regularne, pomimo zmiennego wyrazu. Czoło poety, uśmiech mędrca, śmiałość żołnierza i wzrok myśliciela, łączyły się tu w jednolitość jednąsza. W téj chwili znać było w nim tylko rozkosz bytu bogatéj słonecznéj natury w spoczynku. Ale błyszczące oczy zmiennego koloru, tak błękitne czasami a czasem tak czarne, miały w sobie jasność i głębię nieskończonych marzeń, a na wymodelowanach ustach okrytych bogatym zarostem, grał delikatny uśmiech pogardy cechującéj satyryka, zmieszany dziwnie z otwartym, jasnym wyrazem dobroci.

Siedząc na pniu, jadł spokojnie winne grona z kawałkiem chleba, rzucając okruszyny ptakom świergocącym wśród gałęzi. Powoli, gdy skończył skromny posiłek, twarz jego się zmieniła. Wziął skrzypce z ziemi gdzie leżały, ostrożnie jak człowiek, który kocha to czego się dotyka. Śpiew wody szumiącéj w strumyku był w jego myśli słodki, niesforny,—on, musiał go odtworzyć, jak malarz musi oddać na płótno przelotne barwy krajobrazu, lub harmonię linij które uderzyły oko jego, opanowały wyobraźnię, tak że im się oprzeć nie może.

Słuchał jeszcze przez minutę w milczeniu i przesunął smyczkiem po strunach. Muzyka ozwała się w pośród ciszy, odtwarzając melodją śpiew strumyka, jak Goethe odtworzył ją wierszem; słychać w niéj było ten szmer rozkoszny, rzeźwiący, srebrny dźwięk płynącéj wody, spokojnie, łagodnie, głęboko, i wszystko co strumyk mógł opowiedzieć: o wichrze co pokrywał fale jego pianą, o kobiecych twarzach co odbijały się w nim w chwilach pogody, o błękitnych niezapominajkach i śnieżnych liljach kołyszących się na jego brzegu, o domowych sielankach które spostrzegał puszczając młyńskie koła, gdzie dzieci i gołąbki chodziły w koło różowemi stopkami, o westchnieniach posłyszanych pod szaremi murami klasztoru, gdzie dziewice zamknięte na wieki spoglądały z za krat swoich okien na świat—a świat ten wydawał im się tak pięknym, tak rozkosznym zdaleka. Wszystko co mówił strumyk, powtarzała muzyka. Struny drżały pod ręką artysty, a to co niewyraźném było w jego szmerze, ręka tłumaczyła jako cudowny poemat, uniwersalnym językiem dźwięków, nie mającym ani ojczyzny, ani granic, zrozumiałym zarówno dla ucha monarchów i prostaczków.

(d. c. n.)

Przegląd literacki

Wyjątki z koroneczki mojej okolicy, z notat Pana Marcina wydał *Leon Kunicki*. Warszawa 1872 r. w drukarni J. Sikorskiego, nakładem S. Arcta w Lublinie in 8° m. stron 164.

Są w literaturze pewne formy tak swobodne, tak nieokreślone i żadnemi nieskrępowane prawami, a więc przystępne i łatwe, że dość jest mieć jaką taką wprawę w pisaniu, aby utworzyć pewną wdzięczną całość, do której krytyka wcale przyczepić się nie może! W poezyi gawęda, lub nic nie zapowiadająca fantazya, a w prozie: listy, dzienniczki, pamiętniki, kroniczki lub tak zwane dawniéj *silva rernm*:—są to rzeczy tak łatwe, iż bez skompromitowania się: probować ich mogą wszelkiego rodzaju dyletanci pióra.

Rzeczy łatwe są często najtrudniejsze.

W utworach literackich, niezdefiniowanéj, swobodnéj formy niczego od autora nie żądamy, prócz... jakiego takiego talentu. Z prostéj, bez żadnych pretensyi gawędy Pol lub naśladowca jego w pewnym stopniu Syrokomla utworzyli arcydzieła, a ramot Wilkońskiego trudno naśladować, że pominiemy już tak wysoko cenione liczne pamiętniki, choćby takiego nieporównanego Paska.

Nie zrażając się więc skromnym tytułem: „Wyjątki z kroniczki mojej okolicy z notat pana Marcina,“ zabraliśmy się do ich przeczytania, zwłaszcza, że nam je podaje p. Leon Kunicki, pisarz znany oddawna zaszczytnie na polu literackiem. Jakoż nie zawiodły nas nadzieje, chociaż, jak to się z dalszego ciągu tego przeglądu okaże, nie w zupełności zadowoliły.

Pan Kunicki, jeśli już mamy sobie pozwolić porównania, talentem swoim wiele ma podobieństwa ze sławnym autorem *Os* (francuskich), z Alfonsem Karr; taż sama tu serdeczność, dobroduszność łączy się z nielitościwą satyrą, jaką wyszydza śmieszności i śmiesznostki *obywatelskiego* świata. Wprowadzony przez autora pan *Marcin* zakochany w swéj *Wólce*, człowiek poczciwy z kościami, lubiący petrzyć, obserwować i po swojemu notować, co się dzieje u sąsiadów, to prawdziwy konterfekt niechby owego nadmorskiego samotnika, który w Nicei obrał sobie siedlisko, i niby tylko swoim ogrodem się zajmuje, a pisze i więcéj i lepiéj, niż niejeden, co z pióra żyje.

Rozprawmy się tedy z panem Marcinem, przejrzymy, co nam dał w swoich notach, a czego nie dał, chociaż dać mógł, bo... ani na czasie ani na zdolnościach mu nie zbywało. Dał zas nam szkice, rysunki, niewycieniowane nawet, które chociaż niekiedy fotograficznem odznaczają się podobieństwem, nie mogą jednak zastąpić *żywych obrazów*, których się słusznie po nim spodziewaliśmy. Mówimy jasnéj:

mieliśmy prawo żądać od pana Marcina, aby z nakreślonych w jego notatkach dwudziestu blisko osób, chociaż niektóre uwydatnione zostały nie tylko zewnętrznie, ale ze strony psychicznéj; chcieliśmy poznać nie tylko ich wady i śmieszności, objawiające się w zwykłych kolejach życia, ale okoliczności zarazem, które złożyły się i wciąż oddziaływały na to, iż takiemi były, a nie innemi. Widzimy zjawiające się jedna po drugiéj figury, ale nie znamy ich: patrzymy, jak się ruszają, mówią, chodzą, kłócą się i kochają, ale nie wiemy dla czego: ukrytéj sprężyny ich takiego a nie innego działania nie znamy, nie znamy ich. . duszy. To, co autor mówi na samym wstępie, wyprowadzając je na scenę swoich notatek, niedostateczne, powierzchowne i nic nie wyjaśniające.

Przystępujemy do szczegółów.

Oto charakterystyka p. *Gustawa, Gucia.*

„Młody, przystojny brunecik, z dobrem sercem, ale zarozumiały do najwyższego stopnia i nadzwyczaj kochliwego serca. Jest on tu w okolicy uważany za Lowelasa, podbijającego wszystkie serca, a w jego przekonaniu ciągną go wszystkie mamunie, i wszystkie panny z okolicy w nim się na zabój kochają. Co do umysłowego wykształcenia, nie jest zbyt wysoko posuniętym, szkół nie skończył, a mając ładną, intratną, choć niewielką wioseczkę, nie uważał za stosowne kształcić się daléj w specyalnym jakim zawodzie. W dodatku ma jeszcze te zalety, że tańczy zgrabnie i ochoczo i gra doskonale w preferansa.“

Ładny rysuneczek, nie ma co mówić, ależ to same ogólniki, takich Guciów, takich obywatelskich synów na tysiące liczyć można, a jeden do drugiego podobny, jak dwie krople wody, albo lepiéj, jak krój ich modnego fraka. Do tego rysunku nic pan Marcin nie dodaje w dalszym ciągu swych notat, pokazuje nam od czasu do czasu figurę tego wioskowego Lowelasa, ale ani jednym charakterystycznym rysem nie uwydatnia nam, na czem polegało to jego Lowelasostwo w jego stosunku do Emilki, Żanety i innych okolicznych panien.

Pomijając p. *Maurycego*, starego 50-letniego kawalera, egoistę i głupca (stron. 12), oraz p. *Franciszka* zapalonego preferansistę (str. 14), zastanówmy się nieco nad panną *Emilią*, do któréj pan Marcin z pewną predylekcją się zwraca, i około niéj gromadzi główne zajęcie swoich notatek. Autor taki daje portret Emilki:

„Dziś Emilka, którą znam od lat dziecinnych, liczy nie więcéj jak lat 18 na 19, i jestto stworzonko cudnéj urody: wysoka, kształtna, brunetka, rysów najzupełniéj regularnych, przy tem biała ze świeżym zawsze rumieńcem na okrągłéj twarzy. Oczy jéj duże, czarne, pełne wyrazu, szczególniejszy urok posiadają, ale zarazem i zmienność.“ A daléj nieco po uwadze o oczach, dodaje p. Marcin: „O ile dziś ocenić ją umiem, to Emilka jest próżna i ma artystokratyczne pojęcia (?). Często bardzo szydzić z drugich lubi i naśmiewać się, a że ma dowcip więc nieraz trafnie, ale koląco o kimś się wyrazi. Kapryśną jest i rozpieszczoną do najwyższego stopnia; nic sama zrobić niezdolna, tylko używa z gotowego; a *przy tem zarozumiałą jest ze swojego rozumku, który ma rzeczywiście, i jest bardzo wykształconą.*“

O ile ponętnym jest obrazek powierzchowności panny Emilii, o tyle ustęp malujący wady jéj charakteru, ciemny, niedokładny i sprzeczny sam w sobie, mianowicie też ostatnie wyrazy są dla nas niezrozumiałe, jak mogła Emilka być bardzo *wykształconą, mieć rozum i być zarozumiałą z tego rozumu?* Ale mniejsza o niezbyt szczęśliwe scharakteryzowanie bogatéj panny sędzianki, czemuż p. Marcin nie uzupełnił swojego orzeczenia w następujących po sobie wypadkach, bo ani przymilenia się ojcu o zielone sukno na podłogę, ani zbyt naciągane żarty z konkurentów, niewiele dają nam poznać serce i umysł młodéj panny. A przecież potem, po przebytéj majątkowéj katastrofie, taż sama piękna grymaśnica, zapomniawszy o dawnych zbytkach i przebolawszy nieszczęśliwą miłość dla p. *Alfonsa*, spekulanta, *bogatego ożonku*, staje się na raz cichą, pracowitą, kochającą..... Domyślać się tylko możemy, jak się dokonała ta metamorfoza, ale jéj p. Marcin nie tłómaczy nam, prawda, że tak *bien à propos* wybrał się na Wołyń, więc nic dziwnego, że wielka luka pozostała w jego notach. A ciekawym jednak byłby ten proces, jaki się odbył w umyśle rozpieszczonéj dziewczyny, gdy przechodziła szkołę poznania ludzi, gdy doznała serdecznego zawodu......

Konkurent jéj, a późniejszy mąż, p. *Kazimierz*, którego nam p. Marcin tak opisuje: „*Kazio* był to młodzian *mający lat dwadzieścia kilka*, ślicznéj i pociągającéj powierzchowności, o rysach twarzy foremnych, oczu czarnych, wymownych, cery białéj z żywym rumieńcem na twarzy czarniawym puszkiem porastającéj, z bujnemi kręcącemi się w loczki włosami, silnie i pięknie zbudowany, zgrabny i szykowny. Przy całéj swéj niezaprzeczonéj piękności, *ułożenie miał nieśmiałe* i *lękliwe* i był bardzo małomówny. Co do wykształcenia, tego nie miał wcale, *bo się nie chciał dawniéj uczyć* i *tylko kilka klas w szkole przeszedł;* co zaś do charakteru, był w całem znaczeniu poczciwy, dobrego serca i t. d.“ Otóż ten dwudziestoletni Kazio, co nic nie umiał, uległ także cudownej metamorfozie, ale jak? gdzie? kiedy? nie wiemy. Rok podobno pobywszy za granicą stał się *kompletnie wykształconym młodzieńcem*, gospodarzem tak biegłym i postępowym, że rodzony ojciec chętnie ustępuje mu pierwszeństwa. Miły Boże, toż cud prawdziwy i albo p. Kazimierz tak genialnych był zdolności, iż przez samo zwiedzenie wzorowych gospodarstw zagranicznych, zgłębił wszystkie arkana agronomiczne, albo się dostał do tak doskonałéj szkoły, iż w ciągu roku nauczył się tego, na co młodzież, która ukończyła całe kursa gimnazyalne potrzebuje co najmniéj lat pięciu, bo sama *chemia rolnicza*, będąca dziś głównem źródłem poprawy naszéj roli, niemało im czasu zajmuje.

W powieści... no, toby i uszły podobne niedokładności, ale w kroniczce, będącéj niejako kopią nieubłaganéj rzeczywistości, to, niech mi pan Marcin daruje, pominąć ich milczeniem niepodobna. I przypuścić musimy, jedno z dwojga: albo to, co poprzedziło albo to co potem nastąpiło w życiu p. Kazimierza—fałszywie zanotował p. Marcin.

Poprzestajemy na uwagach tylko tych kilku postaci notatek p. Marcina, gdyż szczupłość ram obecnego przeglądu nie pozwala nam przyjrzeć się bliżéj: ani poważniéj, ale zagadkowéj postaci sędziego (str. 29), o którego charakterze nic więcéj powiedzieć nie możemy, jak tylko, że kochał ślepo swoją jedynaczkę, spekulował i... stracił, ani babce Emilki, pani starościnéj, która przecież musiała mieć jakąś przeszłość, i to przeszłość piękną, która jéj w późne lata taką cześć i poszanowanie zapewniła; ani poczciwéj, kochającéj ciotce Scholi (str. 30); ani też mizantropowi Antoniemu, który ze wszystkich najszczęśliwiéj wyszedł, bo miał rozsądną żonę i dobre, cnotliwe dzieci.

Przeczytawszy z wielką przyjemnością notatki p. Marcina, żałujemy mocno, że nie możemy nieco obszerniéj tu pomówić o wybornie naszkicowanym charakterze starej panny, tego garbuska (str. 37) złośliwego, a jednak z dobrem sercem, ruchliwego, wszędzie się wścibiającego, a jednak czynnego i wcale nieźle gospodarującego na wioseczce brata swojego, zagorzałego myśliwca i... pijaka. Panna *Petronella* udała się autorowi lepiéj niż głupio-arystokratyczna pani *Koszycka* ze swojemi córeczkami, lepiéj niż *Buldog* (str. 33), dorobkiewicz syn karczmarza, czy coś podobnego, który z początku ukazuje się tylko śmiesznym, a potem nikczemnym i podłym.... i dla czego? czy przez miłość wzgardzoną, czy przez brudną chciwość pieniędzy, czy przez wrodzoną sobie złośliwość?? A pan Alfons? świetny, elegancki, taktowny p. Alfons? dla czego oszukał wszystkich i zranił serce niedoświadczonéj dziewczyny? P. Marcin nie poznał się na nim, to źle, powinien był lepiéj go obserwować i ze swoich obserwacyi pewne psychologiczne wyprowadzić wnioski.

Reasumując uwagi nasze o drobnéj napozór pracy p. L. Kunickiego, wdzięczni mu jesteśmy, iż w kroniczce swojéj dotknął żywotnego, obchodzącego nas pierwiastku, przedstawiając ujemną stronę życia naszych obywateli ziemskich, ale nie taimy, i jawny czynimy mu zarzut, iż malując zewnętrzną stronę, pominął wewnętrzną psychiczną, uzupełniającą i wyjaśniającą same fakta. Więcéj refleksyi ze stanowiska ogólnego, czysto ludzkiego, i wyjątkowo społecznego, a przy pięknéj, pełnéj humoru opisowości notatki p. Marcina stałyby się pełniejszemi, zwiększyłyby stokrotnie swoją wartość i nabrały pewnego znaczenia w wyjaśnieniu ciemnych stron naszego społeczeństwa.

J. P.

O TRZĘSIENIACH ZIEMI

I WYBUCHACH WULKANICZNYCH.

(Dalszy ciąg.)

Nic więc z tego co tylko na powierzchni pobudowanem było, ostać się nie mogło ruchem tak skomplikowanym. Miasta, wsie, domy odosobnione, etc. wszystko zwaliło się lub zapadło w jednéj chwili. Nawet fundamenta domów w wielu miejscach na wierzch powyrzucane zostały, ciosowe kamienie porozbijane i nieraz na proch starte.

Choć w tak pobieżnym opisie zastanówmy się jednak trochę nad Messyną. I tu dwie minuty dostateczne były, ażeby uczynić kupę gruzów z téj świetnéj stolicy Sycylij, z tego głównego punktu handlu Włoch południowych. Niepodobna opisać okropności téj straszliwéj chwili, odmalować choćbynajsłabiéj przerażenie i rozpacz mieszkańców, nie pojmujących co się dzieje, ogłuszonych hukiem i łoskotem walących się na wszystkie strony domów, oślepionych kłębami pyłu zupełnie zaciemniającego powietrze, i uciekających no oślep nie wiedząc dokąd, niezdolnych nic zrozumieć, o niczem myśleć.

Szkody przez trzęsienie ziemi w Messynie poczynione, znacznie mniejsze byćby mogły, gdyby nie pożar, który natychmiast po zwaleniu się domów wybuchnął, spowodowany ogniami po kuchniach porozrzucanemi na wszystkie strony, w skutek wstrząśnienia. Ogromne składy oliwy tak obfite w Messynie, podtrzymywały pożar. We trzy dni po katastrofie, senat miasta Messyny przesłał do króla Neapolitańskiego raport szczegółowy o strasznych nieszczęściach miasta, błagając go o pomoc. Figuier w całości ciekawy ten dokument przytacza, lecz tu zawiele miejsca by zajął. Dość powiedzieć, że według tego urzędowego dokumentu, żaden dom, żaden gmach nie pozostał cało, mieszkańcy którzy ocaleli, przecierpieć

musieli najokropniejsze męczarnie głodu i pragnienia, bo nietylko wszystkie mąki i zboża zniszczone były, ale z tego co się dało wynaleść, nie można było upiec chleba, dla brak u wszelkich naczyń gruzami zasypanych; wody słodkiéj zabrakło w jednéj chwili, rzeczki zniknęły w otchłaniach ziemi i w źródłach wody ustały.

Przebieżmy jeszcz e w krótkości główne miejscowości Kalabrji, które od téj straszliwéj klęski ucierpiały, zastanawiając się zwłaszcza nad fizycznemi zmianami powierz chni gruntu.

Miasteczko Rosarno, położone na piaszczystym pagórku, niedaleko rzeki Metramo, było zniesione zupełnie. Pałac księcia, kościoły, domy, jedną tylko nieforemną kupę gruzów przedstawiały. Rzeka Metramo wstrzymała bieg swój i znikła na chwilę, lecz ukazała się znowu. Fenomen szczególny, któren w kilku miejscowościach Kalabrji wtedy się okazał, najdokładniéj mógł być badany. Według raportu Komissji Akademji neapolitańskiéj, w około Rosarno na całéj równinie potworzyły się otwory zupełnie okrągłe, wielkości koła od powozu. Otwory te podobne do wązkich studzień, jedne napełnione były piaskiem suchym, inne znowu wodą. Gdy odkopano je aż do znacznéj głębokości, przekonano się, że wszystkie miały kształt lejka u góry szerszego, a w wązki kanał schodzącego do nieznanéj głębokości.

Miasto Polistena, dość znaczne, zamożne i zaludnione, wznoszące się na dwóch skalistych wzgórzach rzeczką przedzielonych, całkowicie zburzonem zostało; nietylko dom żaden, ale żaden kawał muru, żaden kamień nie został na miejscu. Część gruntu nad rzeką oderwała się i zwaliła się w nią wraz z domami, większa połowa mieszkańców zginęła wśród gruzów. Dolomieu opisuje w następnych słowach bolesne wrażenie jakiego doświadczył na widok ruin Polisteny:

„Widziałem mówi geolog francuzki, Messynę i Reggio, bolałem nad losem tych miast nieszczęsnych, ani jednego nie znalazłem w nich domu, w którymby mieszkać można było, ani jednego któren by z fundamentów nie musiał być odbudowany. Messyna, z wielkiéj odległości wprawdzie, ale zawsze wygląda niby jak miasto okazałe, mieszkańcy poznać mogą, jeśli nie domy swoje, to miejsca na których stały. Widziałem Tropea i Nicotera, gdzie nie ma domu coby nie był uszkodzony, wiele zaś zniszczonych zupełnie. Patrząc na nie, wyobraźnia moja nic już okropniejszego przedstawić sobie nie mogła dopiero, gdym z wyniosłego wzgórza ujrzał przed sobą zwaliska Polisteny, kiedym obaczył stosy gruzów żadnego kształtu nie mających, nie mogących dać nawet pojęcia że tu przedtem było miasto, gdym spojrzał na miejsce gdzie nic zupełnie nie uszło zniszczenia,—doznałem uczucia niewymownego przerażenia, litości i bólu, który przez czas długi zrobił mnie jak skamieniałym. Widok ten jednak był wstępem tylko, do tego com miał oglądać w dalszym ciągu méj podróży."

Wspominaliśmy o pęknięciach i rozpadlinach gruntu; w około nieszczęśliwéj Polisteny więcéj niż gdzieindziéj takich się okazało, a jedna rozpadlina tuż obok miasta, znacznych rozmiarów, po dziś dzień może być oglądaną.

Podobna rozpadlina w kształcie półksiężyca na kilkaset sążni długa, widzieć się daje w okolicy Soriano, i z tego czasu pochodzi ona także.

W Jerocarne, pęknięcia gruntu przedstawiają się w szczególnych kształtach, gdyż rozchodzą się w liczne promienie, jakby na rozbitéj szybie szklannéj.

Cinque-Frondi, śliczne miasteczko o pół mili od Polisteny, tak samo całkowicie zburzone zostało. Pośrodku wznosiła się ogromna kwadratowa baszta, służąca za mieszkanie właściciela. Była to niezmiernie stara, saraceńska budowa, zdająca się być szczególnie trwałą, tak z powodu grubości niezmiernéj murów, jak i rodzaju użytego doń cementu, któryjakby w jedną massę granitowéj twardości zlał wszystko. Ta wieża runęła i rozleciała się na kilkanaście kawałków, które wzbudzają podziw grubością swoją; w jednym z nich całe znajdują się schody.

Casalnovo było pięknem miasteczkiem u stóp góry położonem, w rozkosznéj dolinie. Szerokie jego ulice, a schludne, nizkie domki, ocienione drzewami i porosłe winogradem, tworzyły jakby jeden śliczny ogród. Z obawy trzęsienia ziemi, zdawna zaprowadzono w téj miejscowości zwyczaj stawiania domów nizkich i odosobnionych, a robienia ulic bardzo szerokich; lecz nic to nie pomogło. Casalnowo zostało z ziemią zrównane. Tu straciła życie, zasypana wraz z całą rodziną swoją pod gruzami swéj *willi*, margrabina de Gerace, majętna i szanowna bardzo w całych Włochach południowych, kalabryjska dama. Grunt w okolicy Casalnovo zapadł się i obniżył, grunta na stokach gór i pagórków poodrywały się i zsunęły po pochyłościach, przybierając najrozmaitsze kształty, tworząc rozpadliny na parę mil się ciągnące; jedne zsunęły się wraz z pokrywającemi je lasami aż w dolinę, inne zatrzymały się na pochyłościach przedstawiając szczególny widok.

Żadne miasto prócz Polisteny, nie doświadczyło tak zupełnego zniszczenia jak Terranova,—lecz tu zachodziły pewne szczególne i bardzo rozmaite okoliczności. Terranova wznosiło się w połowie góry, nad trzema głębokiemi parowami. To tłomaczy okoliczności towarzyszące zniszczeniu tego miasta. W trzęsieniu ziemi 5 lutego, część gruntu się oderwała i zsunęła się w parów wraz z stojącemi na nim domami, ziemia zmięszana z gruzami domów, szczątkami zabudowań i trupami mieszkańców, zapełniła parów. W drugiéj części miasta grunt został przedzielony na połowę głęboką rozpadliną, która się nagle utworzyła, część jego jedna ze znaczną ilością domów zwaliła się prostopadle i jakby jedna bryła, w przepaść 300 stóp głęboką. Na dwa tysiące mięszkańców w Terranowa, tysiąc czterysta życie postradało.

Takie były okoliczności towarzyszące zniszczeniu miasteczka Terranova, które dosłownie do góry nogami przewrócone zostało. Jako niemy świadek pozostało na środku niegdyś rynku murowane ocembrowanie studni, wznoszące się teraz o 90 stóp nad powierzchnię jakby komin olbrzymi.

Zwaliska miasta i sąsiednich wzgórzy zasypały parowy, wstrzymały bieg rzeczki i obfitych zródeł, które utworzyły dwa jeziora. W nich to gnijące szczątki zburzonego miasteczka sprowadziły zgniłe gorączki i rozszerzyły zarazę na całą okolicę, wyniszczając resztki pozostałych mieszkańców. Dokoła na znaczną odległość, postać gruntów przemieniona została, góry i pagórki pousuwały się, a sąsiednia równina pokryła się szczelinami i rozpadlinami na wszystkie strony. Zdaje się że nie było jednego cala ziemi, któryby ruszony z miejsca nie został.

Wioska Moluquello naprzeciw Terranowa i na jednym poziomie znajdująca się niegdyś, podobnego losu doznała. Wznosiła się ona na płaskim grzbiecie dość wysokiego pagórka, między dwoma dolinami leżącego. Jedna jéj część zwaliła się w jedną dolinę, druga w drugą; z pagórka został tylko grzbiet tak wązki, że po nim przejść nie można.

W tem ogólnem zburzeniu Kalabrji, wszystko dziwnie się działo. Miasto Oppido, umieszczone na odosobnionéj górze otoczonéj parowami i przepaściami, zupełnie także zniszczone było, żaden kawał muru nie pozostał. A jednak grunt góry ani się usunął ani popękał nigdzie, trząsł się tylko tak, że cytadelę całą, wzniesioną nad doliną, w przepaść strącił.

Jeżeli grunt téj góry wytrzymał wstrząśnienie, nie tak się stało z otaczającemi ją pagórkami. Poosuwały się one i poprzerywały, zasypując doliny i tamując odpływ strumieni, które potworzyły mnóstwo jezior w téj miejscowości. Podobne skutki można widzieć i w innych dolinach sąsiednich.

W okolicy tego miasta otworzyła się w pagórku przepaść obszerna, w którą zapadły się piękne winnice i gaje oliwne. Dotąd jeszcze głęboką jest na blizko stóp 200, a na 500 szeroką.

Castellace, mała wioseczka o milę od Oppido, na brzegu urwiska zbudowana, cała zwaliła się w dolinę, parę tylko pozostało domków jakby na świadectwo okropnego wypadku. Los podobny spotkał i drugą wioskę Corsoletto.

Miasto Santa—Cristina, u podnóża wielkiéj góry Aspromonte, leżące na piaszczystéj wyniosłości, parowami i przepaściami otoczone, doświadczyło téj saméj co i Terranowa kolei.. Domy do góry nogami poprzewracane lub z częścią gruntu gwałtownie strącone w dolinę, góra w wielu miejscach aż do podstawy szczelinami rozdarta, fizyczny kształt powierzchni zupełnie zmieniony.

W okolicach Terranowa, Oppido i Santa-Cristina, trzęsienie ziemi 5 lutego 1783 roku najwięcéj szkód poczyniło, najdziwaczniejsze i najpotężniejsze w tych miejscowościach wywierając skutki. To każe przypuszczać, że ognisko wstrząśnień, przeważnie pod tą częścią skorupy ziemnéj się znajdowało.

Skała Scylli, wzdłuż brzegów cieśniny Messyńskiéj się ciągnącą, a tak sławna w starożytności, była teatrem klęsk wielkich. Ogromne skały odrywając się od wysokich nadbrzeży, zburzyły kilka pięknych willi i ogrodów.

Po wstrząśnieniu 5 lutego, książe Scylla namówił znaczną część wasalów swoich, ażeby się schronili na łodzie rybackie, unikając nowego wstrząśnienia, sam także na jedną z nich się udając. Około północy nowe wstrząśnienie, oderwało część góry nadbrzeżnéj i rzuciło w morze; natychmiast potem, fala podniosłszy się na 18 stóp nad poziom, rzuciła się z wściekłością o brzegi, unosząc wszystko przed sobą. Cofnęła się następnie, lecz powróciła znowu z większą, nieprzepartą siłą; wszystkie bez wyjątku łodzie, obciążone ludźmi, albo zatonęły, albo o skały zdruzgotane zostały. Stary książe Scylla zginął, a razem z nim, tysiąc czterysta trzydzieści osób.

Nie będziem daléj prowadzić tego smutnego wyliczania miejscowości, które ucierpiały wtedy. Dość jeszcze zrobić wzmiankę, że na przestrzeni 6 mil długości a cztery szerokości, między rzeką Metramo, morzem i łańcuchem Apenninów, nie zostało ani jednego całego budynku, ani jednego morga powierzchni, któraby nie zmieniła kształtu, lub w jakibądź inny sposób naruszoną nie została.

Po straszliwém wstrząśnieniu 5 lutego, kilka innych, lecz znacznie już słabszych, czuć się dało. Aż 28 marca drugie, równie silne, przewróciło do reszty nieszczęśliwą Kalabrję. Ognisko tego ostatniego wstrząśnienia przeszło nieco na północ w góry Apennińskie. Kalabrja niższa i prowincje Neapolitańskie najbardziéj ucierpiały. Po obu stronach łańcucha Apenninów grunt został zburzony. To wstrząśnienie poprzedzone było hukiem ogromnym, do wystrzałów piorunowych podobnym, powtarzającym się za każdym drgnięciem ziemi. Ruchy gruntu były jak i 5 lutego bardzo skomplikowane, falowate i wirujące, przerywane to podskokami w górę to opadaniem do dołu.

Nie będziem wymieniać wszystkich wsi, miast i miasteczek, które zostały zniszczone, lub do zamieszkania niezdatnemi uczynione przez to ostatnie

trzęsienie ziemi. Wszakże jego skutki niszczące nie były tak znaczne jak w dniu 5 lutego. Najwięcéj ucierpiały miasta: Nicotera, Tropea, Monteleone, Squilace, Nicastro, Catanzaro, San-Severino i Cotrone, lecz nie całkiem obalone były. Wstrząśnienia 28 marca powiększyły spustoszenia i zamięszanie w Messynie i zwiększyły szkody w Reggio.

Wstrząśnienia ciągnęły się przez cały rok 1783. Kilka nawet czuć się dało w lutym i marcu 1784. Lecz żadne z nich niezbliżały się siłą swoją do wstrząśnień 5 lutego i 28 marca.

Hamilton, któren jak mówiliśmy, przebiegał ten kraj w prędkim czasie po strasznéj klęsce, oblicza liczbę ofiar ludzkich przeszło na 60,000. Największa ich liczba zginęła pod zwaliskami domów, część uciekając w pole, pochłoniętą została przez rozpadliny na wszystkie strony się tworzące. Może szkielety ich dotychczas znajdują się w nieznanych gdzieś głębokościach w tych zamkniętych rozpadlinach.

Wiele zapewne ofiar mogło było być na razie uratowanych, gdyby niebrakło ratunku. Ale na nieszczęście w czasie klęsk tak nagłych i straszliwych, każden swojem lub swoich najbliższych zajęty niebezpieczeństwem, przerażony i nieprzytomny, nie zwraca nawet uwagi na nieszczęście drugich. Zresztą mała liczba pozostających przy życiu, jest także przeszkodą w niesieniu czynnéj pomocy. Przytaczają wprawdzie kilka przykładów wielkiego poświęcenia się, natchnionych miłością macierzyńską, przyjaźnią, miłością małżonków i kochanków, lecz obok nielicznych szlachetnych tych przykładów, ileż to czynów nikczemnych i zbrodniczych!

Podczas pierwszego trzęsienia ziemi w Messynie, margrabina de Spadara, francuzka z domu, omdlała z przerażenia, mąż pochwycił ją na ręce i biegł do portu. Tam przyszedłszy do siebie, zobaczywszy męża zajętego wyszukaniem łodzi, wróciła pędem do domu, wśród walących się zewsząd gmachów i chwiejącéj się pod nogami ziemi, bo synek jej w kołysce pozostał. Dom stoi jeszcze, ona wpada na piętro, chwyta dziecię z kolebki i wybiega z niem, lecz w téjże chwili schody się zapadają, wyjście niemożebne, dom walić się poczyna, ona wybiega na balkon, wzywając przechodzących na ratunek i dziecko im swoje pokazując, lecz każdy o własnéj tylko ucieczce myśli, dom się zapada i pożar jednocześnie go ogarnia. Znaleziono w kilkanaście dni późniéj na wpół spalone ciało biednéj margrabiny, z dzieciną do piersi przyciśniętą, przedmiotem jej miłości i przyczyną jej męczeńskiéj śmierci.

Pospólstwo w Kalabrji okazało podczas okropności téj katastrofy, najwyższą demoralizacją. Pomiędzy chwiejącemi się jeszcze murami, pomiędzy zgliszczami dymiącemi, widziano ludzi narażających się na największe niebezpieczeństwa, depczących po nieszczęśliwych ofiarach na wpół zasypanych, wzywających naprożno ich pomocy, a to jedynie dla odgrzebywania kosztownych łupów i rabunku. Obdzierali nawet tych nieszczęliwych żyjących jeszcze, od których za ratunek znaczniejszeby zapewnie otrzymali nagrody, gdyby im pomódz chcieli. W Polistenie, pewien majętny człowiek spadł głową na dół i przysypany został w jednéj chwili gruzami własnego domu, tak że nogi tylko sterczały mu w powietrzu. Na krzyk rozpaczy przybiegł własny jego służący..... i zdarł mu co prędzéj trzewiki ze srebrnemi sprzączkami. Drugie wstrząśnienie rozsunęło gruzy i ów nieszczęśliwy sam się cudem wydobył, z lekkiemi tylko kontuzjami. Bardzo wielu wieśniaków Kalabryjskich, w dniu 5 lutego rzuciło się do miast zniszczonych, nie dla ratunku lecz, ażeby rabować. Większa część tych szczegółów zaczerpnięta jest z dzieła znakomitego geologa Dolomieu (Mémoire sur les tremblements de terre de la Calabre pendant l'année 1783).

Mała liczba zostających przy życiu, była jak mówiliśmy, przeszkodą w niesieniu natychmiastowéj pomocy ofiarom zagrzebanym w zwaliskach. Nie jedna matka nieprzytomna, na wpół oszalała z rozpaczy, nie jeden ojciec sam pokaleczony i krwią okryty, słyszeli z pod ziemi wydobywające się błagalne głosy swych dzieci, a tu żadnego sposobu odwalenia massy ogromnych kamieni, ani sposobu przyjścia w pomoc własnym dzieciom. Te podziemne krzyki i jęki przez dni kilka słyszano nie w jedném miejscu.

W miasteczku Terranowa, czterech zakonników reguły Świętego Augustyna, którzy schronili się do zakrystji, zachowali życie z łaski mocnego sklepienia, które wytrzymało napór walących się zewsząd gruzów. Lecz wydostać się ztamtąd niebyło środka. I ktożby im przyszedł w pomoc? Ze stu przeszło zakonników znajdujących się w klastorze, jeden się tylko zdołał uratować swą nadzwyczajną siłą, która po długich pasowaniach się dała mu możność odrzucenia przywalających go gruzów. Wycieńczony, zgłodniały i zrozpaczony błąkał się po zwaliskach klasztoru i przez cztery dni słyszał głosy swych nieszczęśliwych towarzyszy, w zakrystji zamurowanych niejako, a pomocy dać im nie mógł. Głosy zcichły nareszcie i ustały powoli. Gdy po pewnym czasie oczyszczono zwaliska, znaleziono ich trupy za ręce się trzymające.

„Mówiłem, pisze Dolomieu, z wielu osobami które z pomiędzy gruzów wydostać zdołano w rozmaitych miastach przezemnie zwiedzanych,—wszystkie mi mówiły, że nie przypuszczały, ażeby zniszczenie mogło być tak ogólne, i sądziły że to tylko ich jeden dom się zapadł. Niepojmowały także, dla czego ociągają się z niesieniem im pomocy. Pewna kobieta w miasteczku Cinque-Frondi, była odgrzebana żywą dopiero dnia siódmego, dwoje dzieci zmarłych z głodu obok niéj leżało. Wiele osób pozostawało trzy, cztery nawet i pięć dni żywcem zagrzebane; widziałem je, mówiłem z niemi, rozpytywałem o wrażenie doznane w téj okropnéj chwili. Ze wszystkich cierpień fizycznych, najdotkliwszem dla nich było pragnienie. Wszystkie zwierzęta wydobyte ze zwalisk po długim poście, bo zdarzał się i pięćdziesięciodniowy, tegoż samego doświadczają, najprzód spieszyły do wody, nie mogą się od niéj oderwać. Młoda dziewiętnasto letnia i ładna kobieta, w ostatnim czasie swéj brzemienności, zostawało przez dwie doby pod zwaliskami.

Własny mąż odszukał ją i wydobył, razem z nowo narodzonem dzieckiem, które najspokojniéj i najszczęśliwiéj na świat tam przyszło.

Zakończymy ten zbyt smutny obraz, spostrzeżeniem związek z przedmiotem mającem a niezmiernie ciekawem. Oto zwierzęta wszystkie przeczuwają nadejście trzęsienia ziemi, i jest to fakt wszędzie stwierdzony. Gdy nic nie okazuje człowiekowi, najbieglejszemu nawet badaczowi, zbliżanie się tego nagłego i strasznego fenomenu, zwierzęta zwiastują go krzykami swemi i wielką niespokojnością. Wszystkie bez wyjątku zwierzęta tém przeczuciem są obdarzone, lecz uważano to szczególniéj u gęsi, kaczek i drobiu. Przed trzęsieniem ziemi 5 lutego, psy tak uporczywie i okropnie wyły, mówi Dolomieu, że kazano je pozabijać,—woły i konie po wioskach taki sam niepokój okazały. Humboldt twierdzi i inni mówią o tém, że przed trzęsieniami ziemi tak częstemi w Ameryce Południowéj, woły i inne domowe zwierzęta, chodzą rozstawiąc nogi niezmiernie szeroko, jakby tém zmniejszały niebezpieczeństwo zapadnięcia w rozpadlinę, coby nagle otwarła się pod ich nogami, lub zyskiwały szerszą podstawę przy kołysaniu się gruntu. W tych samych miejscowościach zalecają ludziom podczas trzęsienia ziemi, trzymać ręce wyciągnięte poziomo od ciała, kształt krzyża. Jest to ostrożność którą doświadczenie i tradycja nauczyły mieszkańców Nowego Świata.

Lecz jakie to są fenomena, które wywierając wpływ na zwierzęta, robią ich tak przewidującemi zbliżające się nieszczęście, nauka dotąd nie wykryła. Może kiedyś lepiéj poznane, posłużą ludziom do zabezpieczenia się przed straszną katastrofą, dziś spadającą nagle jak piorun, niepoprzedzony nawet zjawieniem się chmury z któréj wypada.

FAYUM, SINAÏ I PETRA

PODRÓŻ
DO ŚRODKOWEGO EGIPTU I ARABJI
SKALISTÉJ

ODBYTA PRZEZ

SŁYNNEGO ARTYSTĘ MALARZA GÉROME

ORAZ

JEGO TOWARZYSZY I UCZNIÓW,

STRESZCZONA

przez **Joannę Belejowską.**

(Dalszy ciąg).

Prawie przez całą długość miasta ciągnie się wielki bazar, ze sklepami równie zapchanemi bez ładu jak w Kairze, tylko na mniejszą skalę; jednak kupcy i w ogóle mieszkańcy, odznaczają się wielką prostotą. Jak prawdziwi fellahowie, noszą długie niebieskie suknie, w pasie przewiązane sznurem, a na głowie biały turban, lub niekiedy prostą czapeczkę z brunatnej lub białéj pilśni.

Kobiety w Medinet są ładniejsze, i zapewnie skutkiem większego nagromadzenia ludności, nie tak dzikie jak te które widywaliśmy po wsiach. Wiele z nich nie zapuszczają nawet owéj tradycyjonalnej zasłony, która oczy tylko widzieć dozwala. Ubierają się gustownie jakby z rozmyślną zalotnością, włosy układają bardzo do twarzy, a zasłony z błękitnéj materji przystrajają różnobarwnemi kolorami i bardzo misternie wyrobionemi ozdobami ze srebra i złota. Raz idąc ulicą, spostrzegłem bardzo piękne kolczyki zawieszone na szyi dość ładnéj dziewczyny, które z wielkim trudem, zaledwie za duże stosunkowo pieniądze, dostać od niéj mogłem.

Szła prędko, z nieodstępnym dzbankiem na głowie; postrzegłszy że idę za nią, jeszcze bardziej przyśpieszyła kroku. Już zamierzałem zrzec się zamiaru dogonienia téj gazelli, gdy przypadek przyszedł mi w pomoc. Biegnąc szybko zgubiła jeden ze swych żółtych papuci, a jakkolwiek nie miał on nic wspólnego z pantofelkiem kopciuszka, jednak zatrzymała się aby go podnieść. Uprzedziłem ją i miałem zamiar oddać jej z towarzyszeniem komplementów i grzeczności, ale o zgrozo! posądziła mnie o chęć przywłaszczenia sobie cudzéj własności, i uciekając, rzuciła gradem ostrych jakichś syllab, które bynajmniej nie zakrawały na grzeczności. Nie chcąc uchodzić za złodzieja, biegłem za nią z pantoflem w ręku. Zmęczona usiadła koło fontanny, odebrała zgubę i w dowód szczególnej łaski pozwoliła mi napić się ze swego dzbanka. Wtedy oświadczyłem chęć kupna jej kolczyków i pokazałem małą chusteczkę jaskrawą za kilkanaście susów. Udobruchała się natychmiast

i mówiła coś wiele, ale nie mogąc zrozumieć, pokazałem jej monetę arabską, wartości dziesięciu franków. Wzięła ją zaraz, podała mi jeden kolczyk i zabierała się do odejścia. Chcąc mieć obydwa musiałem na nowo targ rozpoczynać, nareszcie oddała mi drugi, a w dowód zadowolnienia dołożyła żółte papucie. Rozstaliśmy się przyjaciołmi.

Jak we wszystkich miastach prowincji Fayum, tak i w Medinet znajduje się znaczna liczba koptów chrześcian; są to zabytki najstarożytniejszej ludności, zamieszkającej Egipt przed wprowadzeniem islamizmu. Zewnętrzne ich obrządki i praktyki religijne, zupełnie dziś się różnią od zachowywanych w dawnym kościele greckim. Obrządek mszy świętéj zmieniony do niepoznania—i potem tylko poznać można, iż są chrześcianami, że piją wino i zajadają wieprzowinę, nie troszcząc się o Mahometa i jego zakazy. Poznaliśmy tam zakonnika przybyłego z Włoch i mieszkającego w dawnym klasztorze katolickim, założonym tu w celu oświecania tych na wpół dzikich chrześcian.

Dowiedziawszy się o naszem przybyciu, zacny ten kapłan przyszedł nas odwiedzić, i dowiedzieliśmy się od niego wiele ciekawych bardzo szczegółów o miejscowych chrześcianach. Rozpłakał się jak dziecko, gdyśmy zaczęli mówić do niego po włosku, gdyż od bardzo już dawna nie słyszał rodzinnéj mowy. Ofiarował nam śliczne owoce ze swego ogrodu i wino ze swych jagód. Nawzajem podarowaliśmy mu słoik extraktu Liebig'a, co go bardzo ucieszyło, gdyż od lat czterdziestu nie jadł wołowiny ani rosołu. Potrawy bowiem te są równie nieznane w Egipcie, jakby u nas n. p. filets z krokodyla. Woły i bawoły egipskie nie dają się użyć do jedzenia.

Nadzwyczajna urodzajność ziemi w téj części prowincji Fayum, wszelkie przechodzi pojęcie. Zbiory odbywają się kilka razy na rok. Koniczyna dochodzi tu do nieznanej gdzieindziej wysokości, i zbiera się trzy razy w ciągu roku.

Ziemia wegatacyjna, użyzniana mułem pozostającym po wylewach Nilu, nie potrzebuje leżeć ugorem; jak tylko zboże zostanie zżęte, pługi przewracają ziemię przysposabiając ją do nowych zasiewów.

Do pługów zaprzęgają zazwyczaj wielbłądy lub osły, bawoły zaś głównie używane są do pompowania wody ze studzien.

Ziemia zmiękczona nieustannemi irrygacjami, jest tak lekka i pulchna, że zamiast naszych żelaznych pługów używają tu zwykle prostego kawałka drewna; i ziemia sama rozstępuje się przed niem.

Woły, tak pospolite w Syrji, są bardzo rzadkie w tej części Egiptu. Te jakie się znajdują są bardzo małe, nogi mają jakby powykręcane, rogi bardzo długie, pochylone w tył jak u antiloppy, i na grzbiecie garb ogromny do którego krajowcy przytwierdzają jaki jakiemi oburczają te zwierzęta. Maść ich bywa zazwyczaj płowa lub żółtawa, niekiedy tak blada, iż wyglądają jak białe.

Czyżby ten wół tak niezgrabny chciał wywodzić swe pochodzenie od owych sławnych Apisów?. *Grammatici certant.* Trudno temu wierzyć, gdyż hieroglify i figurki przedstawiające świętego wołu, prawie nic nie mają wspólnego z tymi niezgrabiaszami.

Kraj ten zawsze prawie zamieszkiwany był przez ludy pasterskie, a jednak w ogóle nie napotykaliśmy licznych trzód. Najwięcéj hodują małych czarnych baranków, z podłużnemi łebkami, podobniejszych do koźląt niż do owiec.

Zresztą Arabowie są w ogóle tak mało wymagający, iż wełna z wielbłądów zaspakaja wszelkie ich potrzeby i doskonale nadaje się do wyrobu ordynarnych materjałów jakich używają na ubranie. Wyroby delikatniejsze, noszone przez fellahów a szczególniej przez kobiety, sprowadzane są z Kairu a niekiedy nawet z Europy.

W téj okolicy wszyscy prawie mieszkańcy noszą tylko wyroby błękitnej barwy; czy to krótki ubiór ośIarza czy długa suknia fellahów, lub czworograniasta tunika wielbłądników, wszystkie zawsze są niebieskie różnych odcieni, począwszy od szafiru aż do najjasniejszego błękitu. Na wsiach, te niebieskie suknie ładnie odbijają od szaro różowego koloru ziemi.

Lekkie suknie kobiet, (*habbara*) i długie ich zasłony, są daleko ciemniejsze od innych ubiorów. Delikatne, używane na nie materje, wyrabiane z jedwabiu i wełny, są bardzo przezroczyste, świecą się pięknie, i bardzo są podobne do noszonych u nas grenadin. Mahomet wydając tak ostre przepisy odnośnie do skromności kobiecéj, nie przewidział że wymyślą tak lekkie i przezroczyste materjały, z pomocą których kobiety potrafią podejść jego prawo.

Dzieci chodzą zupełnie nago, a klimat i pożywienie złożone z pokarmów roślinnych sprowadza przedwcześnie przykre dla oka roztycie. Do lat jedenastu wyglądają jak nadęte balony, póżniej kształty ich wracają do równowagi.

Pomimo całego uroku jaki, Medinet wywierało na nas trzeba jednak było opuścić tę żywą kartę Genezy i wrócić do gwarliwego i hałaśliwego Kairu, w którym para i elektryczność zatarła przyrodzone piękności z *Tysiąca i jednej nocy*, zamieniając go niemal w przedmieście jakiejś europejskiej stolicy.

Wyprawiwszy nasze pakunki, osły i wielbłądy, poszedłem kupić bilety na dworcu kolei Medinet—el Fayum. Przystań nie była jeszcze wtedy zbudowaną, ale dziś istnieje już z pięknemi zielono pomalowanemi barierami i nowo—wytworzonymi urzędnikami. Zresztą przystań w Egipcie jest rzeczą zbyteczną, kto chce wsiada do wagonu na drodze, kolej posłuszna jak dorożka wzięta na godziny, zatrzymuje się na żądanie, a stacje oznaczone na planie, istnieją tylko dla parady. Prawdziwe stacje zależą od wypadku, fantazji czy fatalności. Ten chce zapalić fajkę, ów zerwać kwiatek czy zabić kaczkę, daje znak i pociąg zatrzymuje się.

Wsiedliśmy do wagonów około dziewiątej rano; cała formalność administracyjna skończyła się na zamknięciu drzwiczek, nim zaś pociąg ruszył upłynęło dwie godzin. Żeby darmo nie tracić czasu, zbieraliśmy szkice z sąsiadów i sąsiadek, zapełniając nimi karty naszych podróżnych albumów.

Ruszyliśmy nareszcie. Z lewej strony drogi zaczęła się ukazywać biaława linia roztaczającej się pustyni, z prawej piękna roślinność i czarujące krajobrazy. Była to istna latarnia czarnoksięzka; rozkoszowaliśmy się w najlepsze jéj obrazami, gdy nagle świst sygnału alarmowego rozległ się w powietrzu:— zabrakło węgla!

Stanęliśmy! Dzieci rozbiegły się po wsi szukając materjału opałowego; w takim razie,, co na drodze to nieprzyjaciel"; zabiera się odłamki od pni palmowych, gałęzie, śmiecie, kości—różne napotkane szpargały, a i tą zbieraniną zasila się żołądek zgłodniałej maszyny. Pociąg wreszcie rusza, wędząc podróżnych w dymie wychodzącym z lokomotywy, z trudnością mogącej przetrawić dziwny pokarm jakim ją podsycono.

Nowe gwizdnięcie, nowy przestanek, ale tym razem żadnego nie było wypadku, tylko przybyliśmy do stacji bez budowli i służby. Pierwsza ta *niby* stacja przypada w wiosce *El-Wastah* ładnej, regularnie zbudowanej i *prawie* czysto utrzymanéj. Powodem tego Nil wzdłuż przerzynający wioskę. Przypływają tu łodzie i statki z Medinet, odstawiające i zabierające towary dowiezione koleją.

Ponieważ mieliśmy tu zabawić dwie godzin, zasiedliśmy przeto na murawie pod cieniem drzew palmowych, w towarzystwie gromady psów nadbiegłych ze wsi, które stanęły z uszanowaniem w półkole,oczekując na kości zjadanych przez nas kur i kaczek.

Ale trzeba nam rozstać się z Egiptem, aby zapuścić się w pustynię Mojżesza i manny Hebrajczyków.

Opuszczamy więc Kair, owe cudne miasto, w którem z chęcią zabawilibyśmy jeszcze z pół roku, i nie zbrakłoby nam coraz nowych przedmiotów do obejrzenia, studjowania i malowania.

Wszyscy posmutnieliśmy w przeddzień odjazdu; każdy z nas błąkał się samotnie po najwięcéj upodobanych sobie miejscach. Ja udałem się do bramy Zwycięztwa i grobów Kalifów, gdyż zawdzięczałem im najpierwsze i najmilsze wrażenie z podróży.

Słońce znikało na horyzoncie, chowając się po za Piramidy; trzeba więc było rozstać się z fantastyczną doliną.

Na drugi dzień już byliśmy w drodze, pędząc jak huragan pustyni z którym nie życzę nikomu zabierać bliższej znajomości.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZÉJ.

Różne wiadomości.

Wykopalisko. W gubernji czernigowskiéj, podług doniesienia miejscowych *Gubern. Wiedom.* w pobliżu wsi Mochnowki, powiecie starodubskim, kozak Łuszkow pracując 13-go kwietnia w polu, znalazł 80 srebrnych starożytnych monet, wielkości półrubla. Monety te są z czasów Zygmunta III króla polskiego; na jednéj stronie monety znajduje się wyobrażenie Zygmunta, a na drugiéj—herb królestwa z łacińskiemi napisami w otoku. Podobne wykopaliska w gubernii czernigowskiéj są dość częste; także same monety w pozaprzeszłym roku znalezione zostały we w. Koźlu, powiecie czernigowskim. Na nieszczęście, mimo przyjętego przez cesarską Komisję archeologiczną prawidła, w widokach zachęcenia znajdujących starożytności do przedstawiania rzeczy znalezionych, iżby wypłacano im za podobne, najpospolitsze nawet monety, oprócz metalicznej wartości wykopaliska, jeszcze szczególne wynagrodzenie w wysokości jednej trzeciej części wartości, wykopaliska te prawie nigdy nie są przedstawiane komisji w zupełności, lecz po większej części sprzedawane na miejscu po nader nizkiej cenie. I w wypadku niniejszym, podług wszelkiego prawdopodobieństwa znaleziono monet więcej, aniżeli ich przedstawiono dla ustąpienia skarbowi.

KORESPONDENCJA.

Panu E. W. Kończenie artykułów i powieści w półroku jest niepodobne w piśmie tygodniowym, a z ukończeniem roku bardzo trudne. Niedogodność ta mało dotyka nowych prenumeratorów, bo zwykle numera rozpoczętej powieści udzielamy bezpłatnie z początkiem każdego roku.

N. 30. Przyjaciela dzieci wyszedł z druku i zawiera: Nauka moralności.—Pieniążek Zosi. Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia. (Dokończenie).—Jak cię widzą, tak cię piszą, (wiersz) przez *Jana Prusinowskiego.*—Michał Verino.—Czyny nauczające ułożone z historji starożytnej.—Arkabuz, (z ryciną), przez *M. S.*—Antibez i zamek Arenenberg, (z ryciną.)—Wieści ze świata.—Korrespondencye.—W dodatku: Mali podróżni. (Dokończenie)—Przygody Ryszarda angielskiego, Opowiadanie historyczne, ułożone z powieści angielskich pisarzy.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066*k*. Дозволено Цензурою Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 31 r. 1872.

MIŁOŚĆ DZIEWICY

OPOWIADANIE

Z WYPADKÓW PRAWDZIWYCH

ZASZŁYCH MIĘDZY ROKIEM

1770 a 1794

UŁOŻONE PRZEZ

ERNESTA DAUDET.

ROZDZIAŁ I.

W roku 1770, w miesiącu marcu, około szóstéj rano, młoda bardzo kobieta, z maleńkiem dzieckiem na ręku, szła znużona lewym wybrzeżem Gardony, małéj rzeczki przepływającéj departament Gard i wpadającéj do Rodanu, niedaleko Beaucaire. Nieco opodal od mostu, zwanego mostem Gardu, na rozdrożu gdzie drogi rozchodziły się w różnych kierunkach, nieznajoma zatrzymała się chwilę, nie wiedząc w którą udać się stronę;—po chwili namysłu zwróciła się ku mostowi.

Powietrze było bardzo mroźne; wiatr północno-zachodni dął gwałtownie noc całą i dotąd nie uspokoił się jeszcze; wstrząsał i mącił przezrocze wód powierzchnie, pochylał drzewa, podnosił tumany piasku i z jakimś dziwnym, tajemniczym szelestem wpadał między łozinę, tu i owdzie przeglądającą się w nadbrzeżnych fal zwierciedle. Szaro-białe chmury kłębiły się pod obłokami, opuszczając się tak nizko jakby chciały opaść na ziemię, a popychane nieprzepartym jakimś wirem, leciały jak szalone najdziwaczniejsze przybierając formy.

Nieznajoma szła coraz prędzéj, jakby nie wiedząc o burzy, o tém jedynie myśląc, aby coprędzéj dobiedz celu podróży i śpiące dziecko schronić w bezpieczne miejsce. Jak powiedzieliśmy wyżéj, była to kobieta bardzo młoda, zaledwie dwudziesto-letnia. Na głowie miała jasną bawełnianą chustkę, zawiązaną w sposób jak po dziś dzień noszą wiejskie dziewczęta z okolic Bordeaux, z pod któréj wysuwały się w nieładzie bujne sploty jasno-blond włosów. Ubiór jej odznaczał się zarówno rodzajem swym jak i różnobarwnością. Miała na sobie błękitną wełnianą tunikę oszytą żółtym galonem, długa czerwona szarfa otaczała jéj kibić, na ramiona zarzucony był krótki płaszczyk z ordynarnéj wełnianéj materji: ale wszystko to było bardzo zniszczone, wypłowiałe, podarte, ponaszywane najrozmaitszemi łatami. Na bosych nogach miała sandały uplecione ze szpagatu i przytwierdzone skórzanemi rzemieniami, ale również tak już zużyte, iż zaledwie połowę nóg osłaniały. Wszystko to zwiastowało biedę i opuszczenie.

Jednak pomimo tak nędznéj odzieży, cała postać młodéj kobiety nadzwyczaj była powabną i pociągającą. Rysy twarzy były tak posągowo regularne, że nawet wyraźne ślady cierpień i znużenia nie zdołały zaćmić jéj cudownéj piękności; wielkie czarne oczy, przysłonione z lekka długiemi jedwabnistemi rzęsami, miały wyraz anielskiéj słodyczy, i choć zamglone łzami, niezrównanym jaśniały blaskiem. Rączki i nóżki były tak maleńkie, tak cudnie utoczone, że najarystokratyczniejsza dama pozazdrościć by ich mogła. Twarz i ręce mocno były opalone od słońca, ale pierś którą karmiła dzieciątko, jaśniała alabastrową białością. Z rysów i postawy niepodobna było dojść z jakiéj pochodziła rassy, i tylko zawieszone u pasa tamboryno i pewne hieroglify wyszyte na rękawach, dozwalały domyślać się prawdy.

Tipoleta należała do jednéj z tych koczujących band cygańskich, od wielu wieków rozproszonych po całéj Europie. Ich obyczaje i pochodzenie dotąd jeszcze otacza tajemnicza zasłona, włóczą się z miejsca na miejsce, pojawiają się i znikają nie wiedząc skąd i kiedy.

Mężczyzni bywają zazwyczaj dobrze zbudowani, mają wyraźne rysy, kruczo-czarne kędzierzawe włosy, głos mocny, gardłowy. Kobiety, a szczególniéj niektóre, odznaczają się nadzwyczajną, ale zarazem dziką jakąś pięknością, tylko, że jak wszystkie koczujące plemiona, zmieniają się bardzo prędko, i przed dojściem do lat trzydziestu, z pięknych stają się strasznemi.

Tipoleta pochodziła, a przynajmniéj wzrosła i wychowała się wśród bandy cygańskiéj. Wprawdzie rysy jéj, kolor włosów, białość i delikatność cery zdawały się całkiem odmiennego dowodzić typu, ona jednak sama nic nie wiedziała, nic nie przypominała sobie, coby mogło budzić podejrzenie, iż oszukiwano ją mówiąc: że jest córką cyganów Pinxa i Karkowity. Czy tak było w istocie? czy może była ukradzionem gdzieś dzieckiem?—niewiadomo, i Tipoleta nigdy nie myślała o tem—to tylko pewna, że cyganie nie bardzo ją lubili. Jakiś wrodzony instynkt bronił ją od skażenia i zepsucia jakie ją otaczało. Ktoś nauczył ją liter i dał jakąś książkę na któréj nauczyła się czytać i kilkadziesiąt słów po francuzku—dzika banda brała jéj to za występek, za chęć wynoszenia się nad innych. Póki była małą dziewczynką, smagano ją rózgami, że nie chciała kraść ani żebrać, a gdy dorosła, jéj nadzwyczajna piękność stała się dla niéj nieprzebranem źródłem prześladowań i katuszy. Ileż to ściągnęła na siebie gniewów, niechęci, zemsty i nienawiści, że nie chciała pójść za żadnego z młodych otaczających ją cyganów.

Chcąc uniknąć prześladowania, postanowiła w ucieczce szukać ratunku, ale ją dopędzono i uwięziono w lochu, zapowiadając, że głodową umrze śmiercią, jeźli nie zechce zostać żoną którego ze starających się o nią cyganów. Tak przemęczyła dwa tygodnie, cała banda pastwiła się nad nią niemiłosiernie—szczęściem los zesłał jéj obrońcę w osobie młodego cygana, który po królowéj, największą miał władzę w całéj bandzie.

Piękny, śmiały, nadzwyczaj silny i odważny, młody Borachio ulitował się nad nieszczęśliwą, wymógł na królowéj, że rozkazała wypuścić z lochu Tipoletę, pokochał ją szalenie i uzyskawszy wzajemność pojął za żonę. Opieka męża zapewniła jéj spokój i względną szczęśliwość, która jednak krótko bardzo trwała, gdyż po kilku miesiącach znaleziono na skraju lasu martwe zwłoki Borachia, zamordowanego przez jednego ze swych współtowarzyszy, który zazdrościł mu pięknéj żony i przeważnego stanowiska jakie zajmował w bandzie. Tak więc biedna Tipoleta została wdową, a córeczka jéj przyszła na świat w pół roku po śmierci ojca.

W pobliżu mostu Gard, znajduje się wiele grot w których właśnie zamieszkali cyganie; w jednéj z nich Tipoleta siedziała na garstce barłogu, piastując swoją śpiącą, kilka tygodni życia mającą córeczkę. Nie wiedząc o jéj tam obecności, starszyzna cygańska zebrała się na naradę w poblizkiéj grocie, wkrótce Tipoleta usłyszała iż mówią o niéj, wtedy zaczęła się przysłuchiwać się bacznie, i z niewymownem przerażeniem dowiedziała się, że postanowiono pozbyć jéj się jakim bądź sposobem, a dziecię wychowywać tak, aby znów kiedyś nie było nieużytecznym dla bandy ciężarem. Mątka jéj, Karkowita, bynajmniéj nie sprzeciwiała się temu.

— Jutro rano, mówiła, porzucamy te strony, i udamy się w okolice Awinionu; otóż zatrzymamy dziecko Borachia, a Tipoletę porzucimy gdzie na drodze.

Zgodzono się jednomyślnie, polecając Karkowicie wykonanie powziętego postanowienia.

Biedna Tipoleta rozpacznie załamała dłonie i przyciskając do piersi dziecinę, zaczęła ją pieścić i całować namiętnie. Całą noc oka nie zamknęła, przemyśliwając jak ratować swój skarb najdroższy, który jéj wydrzeć chciano—nie widząc innéj rady, postanowiła uciekać.

Nazajutrz rano cała banda ruszyła w drogę, Tipolecie pozwolono usiąść na wozie, co dozwoliło jéj zaoszczędzić siły tak potrzebne do zamierzonej ucieczki. Późnym wieczorem zatrzymano się rozkładając swój tabor w pobliżu Awinionu. Tipoleta cały dzień uskarżała się na nadzwyczajne osłabienie, i zaledwie zsiadła z wozu, udała się na spoczynek i niby twardo zasnęła. Tym sposobem uśpiła czujność bandy, a sama bacznie upatrywała sposobnéj chwili do ucieczki. Jakoż w kilka godzin późniéj, kiedy wszyscy już spali, wstała po cichu, i z dzieckiem na ręku szła na palcach powstrzymując oddech. Tak uszła ze sto kroków, poczem nagle niewysławionym zdjęta strachem, zaczęła biedz jak strzała, i lękając się pogoni biegła tak i biegła, sama niewiedząc gdzie, aż tchu pozbawiona, padła gdzieś na drodze.

Bieg jéj trwał już godzinę; nic nie wiedziała gdzie jest i lękając się pogoni po chwilowym spoczynku znów w dalszą puściła się drogę. Teraz dopiero poznała, że znajdowała się na drodze którą przebywała wozem, i postanowiła kroczyć nią dalej, przekonana że nigdy cyganom nie przyjdzie do głowy, szukać jéj w tylko co opuszczonych grotach. Dzień zaczął świtać gdy dochodziła do mostu Gard—teraz mogła już nie lękać się pogoni.

Wicher dął jeszcze, ale szalone jego podmuchy rozpędziły chmury i bladawe słońce zaczęło oświecać zroszone pola. Majestatyczny i dumny swą wiekową niewzruszonością, most Gardu, ten kolos wsparty o dwie góry, przywykły najgrawać się z burz i zniewag czasu, zdawał się urągać bezsilnym porywom rozkiełznanego wichru, rozbijającego się o białe omszone jego kamienie i przepadającego z przerażającym hukiem w olbrzymich jego arkadach. Piękne te i śmiałe arkady, tworzyły jakby wspaniałe ramy, w pośród których przedstawiały się zachwyconym oczom różne części prześlicznego tego krajobrazu. rozkoszna dolina przerzynana wodami Gardony piękne jasnobarwne łoziny, przerocze fale rzeki roztaczające się na biało piaszczystem łóżysku, oraz odbijające się w nich niebiosa i okoliczne góry.

Nic rozkoszniejszego jak to zachwycające ustronie, jakby oaza spotkana gdzieś na krańcach świata, po któréj nigdy ludzka nie stąpała noga. Przyroda tak hojną ręką rozrzuciła tu swe najpiękniejsze skarby, jakby

chciała pokazać, jakie cuda wytwarzać jest zdolna. Wszystko tu było jéj dziełem, i tylko wspaniały most Gardu wzniesiony niegdyś przez Rzymian, to jedyne w swoim rodzaju dzieło zaginionéj cywilizacji, świadczył o dumnem z nią współzawodnictwie człowieka.

Ale cudny ten krajobraz nie zwrócił na siebie uwagi Tipolety; biedna kobieta wycieńczona znużeniem i głodem, nie widziała go nawet. Szła teraz wolno, ze spuszczoemi oczami; omdlałe ręce zaledwie mogły utrzymać dziecinę, pragnienie paliło usta, postępowała prawie bezwiednie. Drżała od zimna, i zaledwie powlóczyła obrzękłe i pokaleczone nogi, jednak widząc się tak blizko kresu podróży, zdawała się zapominać bólu i znużenia.

Przeszedłszy most, weszła do jednej z grot w któréj wczoraj jeszcze przebywali cyganie. Była to taż sama, w któréj przed dwoma tygodniami córka jéj przyszła na świat. Ileż to przebolała boleści, ile gorzkich łez w niej przepłakała,—a jednak teraz, gdy po gwałtownych przebytych wzruszeniach, znajdowała tu nareszcie bezpieczne schronienie, grota ta wydawała się jéj jakimś zaczarowanem pałacem, w którym pragnęła żyć i umierać.

Światło wchodzące z zewnątrz oświetlało pierwszą część groty, głębia jéj w zupełnej pogrążona była ciemności. Wszedłszy wewnątrz, Tipoleta wydała okrzyk radości. W jednym kącie dostrzegła garść słomy, która starczy jej za łoże, a tuż obok kawałki suchego chleba i kilka nieogryzionych kości. Rozgarnąwszy słomę ułożyła na niéj śpiące dziecko i otuliła swoim płaszczykiem, poczem nasyciła głód znalezionemi resztkami, wodą rzeczną ugasiła pragnienie, obmyła zakrwawione nogi, i posiedziawszy trochę na słońcu wróciła do groty. W téj chwili właśnie dziewczynka przebudziła się i zakwiliła, Tipoleta wzięła ją do piersi i nakarmiwszy, położyła ją przy sobie.

Dziecię niebawem zasnęło, a Tipoleta w rzewnéj zatonęła zadumie. Czuła się wolną i bezpieczną, nie obawiała się już pogoni ani prześladowania cyganów, serce jéj zabiło uczuciem nigdy nieznanéj radości,—w jednéj chwili zapomniała przebolałych cierpień i smutków. Wprawdzie przyszłość nie przedstawiała jéj się w różowych kolorach,—nie ma z czego żyć ani czem wyżywić córki, ale potrzeby jéj tak są ograniczone!... Ptaki i cyganie tak mało potrzebują do życia!.... a ona od lat dziecinnych przyzwyczajona do pracy i trudów, nie ulęknie się najcięższéj pracy i znoju;—czyż podobna, aby jéj odmówiono kawałka chleba, na który w pocie czoła zarobić pragnie?... I biedna istota, nie żądająca nic więcéj jak możności zapracowania na kawałek chleba, lubowała się myślą, że nadzieje jéj ziszczone zostaną, i samo tylko wspomnienie cyganów przejmowało ją dreszczem.

Kilka godzin już spała spokojnie—w tem przebudziła się nagle. We śnie jeszcze zdawało jéj się, że słyszy przerażający jakiś odgłos, jakby głuchy grzmot pomięszany z rykiem burzy. Z początku myślała, że był to tylko sen jakiś przykry, ale coraz głośniejsze odgłosy przekonywały o smutnéj rzeczywistości. W pośród głuchego wrzenia, wyraźnie głosy ludzkie dochodziły ją z oddali;—zrazu zdało jéj się, że je wydawali goniący ją cyganie, ale rozpoznała niebawem, że były to rozpaczliwe krzyki ludzi wzywających pomocy. Porwawszy dziecię na ręce, prędko wybiegła z groty. Jakże to straszny i zarazem wspaniały widok przedstawił się jéj oczom! Przerażona stanęła jakby skamieniała.

Gardona wezbrała, a wylew wód jéj był tak wielki i nagły, iż w jednéj prawie chwili cicha ta i spokojna zazwyczaj rzeczka, zamieniła się w bystry i gwałtowny potok, który roztaczając po polach swe wzburzone fale, niszczył i porywał wszystko co tylko spotykał na drodze. Tipoleta postrzegła, że woda już prawie do stóp jéj dochodzi; przestraszona obejrzała się wokoło, ale jak okiem zasięgnąć mogła, widziała tylko rozhukano bałwany mętnéj wody, unoszące z sobą drzewa, winnice, części domów, sprzęty, zwierzęta a nawet i ciała ludzi. Owe krzyki jakie ją ze snu zbudziły, wydarły się z piersi kobiet piorących bieliznę nad brzegiem rzeki, które zaskoczone wylewem, zaledwie zdołały schronić się na wysoko sterczącą skałę.

Woda przybierała nieustannie, a nie znajdując ujścia, rozbijała się o skały i kamienne filary mostu które odrzucały ją gwałtownie,—wtedy wzburzone, pianą pokryte bałwany wracały zkąd przyszły, dopóki nowe nadpływające fale nie powstrzymały ich w biegu. Te gwałtowne ich z sobą starcia, wytwarzały szum i łoskot, który Tipoleta posłyszała w grocie; nawet rozhukane morze nie szaleje więcéj i straszniejszych, więcéj rozkiełzanych nie wyprawia harców,—można było mniemać, że to powtórzenie potopu świata.

Pięć minut czasu, Tipoleta pojęła cały obszar wylewu, cały ogrom grożącego niebezpieczeństwa. Stała nieruchoma, z obłąkanym wzrokiem, z rozpuszczonemi splotami prześlicznych włosów, blada: zgnębiona jak posąg rozpaczy. Wtem nagle bałwany zahuczały dziko i pieniąc się stóp jéj dotknęły; przerażona, silniéj do piersi przycisnęła córkę i cofnęła się o parę kroków. Rozszalałe fale popędziły za nią,—czyżby miały zalać grotę w któréj szukała schronienia?... Na samą tę myśl krew lodem ścięła się jéj w żyłach, zawrót ogarnął głowę, przestrach zamieniał się w obłęd. Instynkt zachowawczy kazał jéj uciekać,—ale gdzie i którędy?... Do żadnéj z wiosek okolicznych przedostać się było niepodobna, gdzie spojrzeć woda zalała całą przestrzeń.

Nagle przypomniała sobie, że nieco podal, na wzgórzu, leży stary zamek, do którego nieraz cyganie chodzili prosić jałmużny. Postanowiła więc tam błagać przytułku i schronienia. Lecz aby się dostać na wiodącą do niego drogę, trzeba było przejść przez wodę przybierającą tak gwałtownie, iż może za parę sekund niepodobna będzie jéj przebyć. To też nie wahając się i chwili, zwyczajem cyganki wzięła dziecię na plecy i śmiało rzuciła się w wodę.

Straszna to była przeprawa! Woda sięgała jéj do pasa; śliski grunt usuwał się pod nogami; gwałtowny prąd wody rzucał nią i miotał jak wicher liściem osiny i trzeba było całego wysiłku niezłomnéj woli, aby nie upaść w téj walce z rozhukanym żywiołem. Wycieńczona chorobą i gwałtownemi wzruszeniami, dobywała sił ostatnich, kilkakrotnie musiała stawać dla nabrania tchu i znów brodziła daléj, aż nareszcie po upływie może dziesięciu minut, które dla niéj stawały się wiekami, dostała się nakoniec na drogę prowadzącą do zamku. Odetchnęła swobodniéj.

Nie obejrzawszy się nawet na przebytą drogę, wyżęła zmoczone ubranie i szła daléj wolno ku bramie zamku; jednak zaledwie doszła do niej, nogi zachwiały się pod nią, ostatnim wysiłkiem wyciągnęła rękę, szarpnęła za łańcuch od dzwonka, położyła dziecię na murawie, i padła przy niem bez zmysłów. W téj chwili otworzono bramę.

II.

W otwartych drzwiach zamkowéj bramy, ukazał się trzydziestoletni mężczyzna z ogorzałą twarzą i sumiastym wąsem; w oczach jego malowała się poczciwość i dobroć, a ubiór był mięszaniną munduru i liberji. Krój sukni przypominał mundur, a srebrem haftowane herby margrabiego de Chamoudrin dziedzica zamku, oznaczały służebnictwo. Zobaczywszy zemdloną Tipoletę, a obok niéj śpiące dzieciątko, wydał krzyk bolesnego zadziwienia.

— Cóż się tam stało, Coursegol'u? zapytał ktoś idący za nim.

— Spojrzyj, panie margrabio, odrzekł, wskazując Tipoletę.

— Ach! zawołał margrabia, przybliżając się do cyganki, jakaż ona piękna! czy tylko żyje jeszcze... Przyklęknąwszy, położył rękę na sercu biednéj Tipolety i uczuł słabe jego bicie.

— Życie nie odbiegło jeszcze, ale serce bije tak słabo, iż nie wiem czy zdołamy ją ocalić. A dziecię?

— O! zdrowe, odrzekł Coursegol, tylko trzebaby je nakarmić, na teraz koza zastąpi mu mamkę.

— Trzeba co prędzéj przenieść do zamku biedną jego matkę, rzekł margrabia, będziem ją ratować jak umiemy.

Coursegol zawołał na nadchodzącą służącę, oddał jéj dziecko, a sam podniósł z ziemi Tipoletę i zaniosłszy do pałacu położył ją na łóżku.

Coursegol urodził się w zamku Chamoudrin, i tak jak ojciec, dziad i pradziad jego zostawał w usługach dziedzica. Dzieckiem będąc był towarzyszem zabaw dzisiejszego swego pana, margrabiego de Chamoudrin, a jego przywiązanie, wierność, cześć i poświęcenie nie miały granic. Oprócz zamku i jego mieszkańców, nic go nie zajmowało, nic nie kochał i o nic nie dbał na świecie. Jedynem jego pragnieniem było szczęście i świetność domu margrabiego. Gdzie się tylko obrócił, tak wychwalał i wynosił dobroć, cnoty i niezrównane przymioty swego pana, iż nikt w okolicy nie śmiałby w jego obecności odezwać się choćby z najmniejszem słówkiem nagany dla margrabiego. W zamku, nie wyznaczono mu oddzielnego obowiązku, ale gorliwie pełnił rozliczne, będąc zarazem odźwiernym, rządcą, ogrodnikiem, marszałkiem dworu, a niekiedy nawet kucharzem. Służył kiedyś dwa lata w kawalerji królewskiéj, i dla tego zawczasu postanowiono, że kiedyś będzie uczył młodego panicza fechtować się i konno jeździć. Talenta jego były bardzo różnorodne. Umiał robić doskonałe piszczałki, układać do polowania psy, sokoły i łasice, wypychać ptaki, łapać i przytwierdzać do szpilek motyle, i tak zręcznie rzucać kamienie, iż od jednego zamachu dziesięć razy odbijały się od powierzchni wody; wszystkiego tego uczył po trochu małego Filipa, pięcioletniego synka margrabiego. Daléj znał doskonale nazwy ziół i ich własności, i z tego tytułu był trochę doktorem, leczył ludzi i zwierzęta. Nigdy więcéj jak obecnie nie uczuł, iż niedostateczna była jego wiedza doktorska. Nieszczęśliwa Tipoleta nie wracała do przytomności, a jej nieruchomość i trupia bladość blizką śmierć zwiastowały.

Biedny Coursegol nie wiedział co począć; pierwszy to raz w życiu leczył tak młodą i tak cudnie piękną kobietę, a nieopisane wzruszenie paraliżowało słabe jego środki. Jakżeby chętnie ceną własnego zdrowia okupił jej zdrowie i życie!

— Ach! panie margrabio, jakże ona anielsko piękna!... patrz pan jaka młodziutka, przysiągłbym że nie ma jeszcze lat dwudziestu... Jakie maleńkie rączki! do łokcia opalone ale daléj bielutkie i gładkie jak aksamit!... A włosy! miękkie jak jedwab i tak jasno blond jakby na świętym obrazku...

Roztworzywszy gwałtem jej zaciśnięty zęby, wlał jéj w usta trochę gorącego wina z cukrem i cynamonem, i jednocześnie rozcierał flanelą jéj przemokłe i ziębnięte ciało.

— Małe jej nóżki takie nabrzmiałe i pokaleczone, iż niezawodnie musiała długą odbyć podróż, rzekł, a po chwili zawołał: Panie margrabio, zdaje mi się iż dała znak życia!

Margrabia przysunął się prędko. Tipoleta otworzyła oczy, spojrzała z wysileniem w tę i ową stronę, i słabym, zaledwie dosłyszanym głosem, wymówiła kilka słów w jakimś nieznanym języku.

— Widzę, że jest czegoś niespokojna, ale nie rozumiem co mówi, rzekł margrabia.

— Szuka swéj córki, odrzekł Coursegol, pójdę i zaraz ją przyniosę.

Podczas jego nieobecności, Tipoleta zupełnie odzyskała przytomność i pamięć, ale tak nadzwyczaj była osłabiona, iż ledwie mówić mogła. Gdy Coursegol wszedł, niosąc jej dziecię, uśmiechnęła się i wyciągnęła ręce.

— Uściskaj ją ale nie bierz na ręce, zanadto jesteś osłabiona, rzekł margrabia.

Zrozumiała go i była posłuszna, i tylko utkwiła wzrok w dziecinę, i wyszeptała z wyrazem niewysłowionéj miłości macierzyńskiéj;

— Moja córko!... moja droga Dolores!

— Dolores!.. śliczne imię! zawołał Coursegol, uradowany, że cyganka przemówiła nareszcie.

— O! zatrzymajcie ją u siebie, mówiła słabym głosem i łamaną francuzczyzną, nie oddajcie jej cyganom, byłaby tam tak jak ja nieszczęśliwa i dręczona... Nauczcie ją znać i kochać Boga.. wychowajcie na uczciwą i pracowitą dziewczynę.. Nauczcie ją kochać i przebaczać... niech nie pogardza i nie nienawidzi cyganów... powiedzcie jej że jej matka i ojciec należeli do tego nieszczęsnego plemienia....

Słowa te mówiła przerywanie, powoli, jakby szukając wyrazów, któremi chciała myśl swoją wysłowić...

— Bądź spokojna, odrzekł rozrzewniony Coursegol, córce twojej dobrze tu będzie... odpocznij sobie.

— Wkrótce odpocznę snem śmierci, odpowiedziała z poddaniem..... córko moja, bądź szczęśliwa!

— Ależ ty będziesz żyć! zawołał margrabia.

Zaledwie słów tych domówił, Tipoleta zerwała się i wzniosła ręce. Rysy jej wyciągnęły się, oczy zdawały się wychodzić z głowy, ręką przycisnęła serce, ostry krzyk wydarł się z piersi i opadła na łóżko. Wszystko to trwało jedną chwilkę. Margrabia i Coursegol przysunęli się prędko, unieśli jej głowę, próbowali otrzeźwić; daremnie—Tipoleta skończyła cierpieć. Tyle wzruszeń, cierpień i boleści przechodziło jej siły, serce pękło nie mogąc ich przenieść.

Dwie łzy spłynęły po ogorzałéj twarzy Coursegola:

— Biedna kobieta! rzekł z bolesnem wzruszeniem.

— Co teraz robić z jéj dzieckiem? rzekł margrabia. Skoro Bóg chciał aby się tu dostało, powinienem je zatrzymać i wychować; ale któż go wykarmi? Dawniej margrabina byłaby się tem zajęła, lecz teraz!...

I głos jego zadrżał wzruszeniem, które już teraz nie było wywołane smutnym widokiem jaki miał przed oczami, ale wspomnieniem własnego nieszczęścia...

— Panie margrabio, rzekł nieśmiało Coursegol, ja nie mam żony ani dzieci, i bardzo mi pusto i smutno w moich pokoikach, które tylko obecność pana Filipa rozwesela czasami. Jeśli pan margrabia pozwoli, przyjmę Dolores za córkę.

— Ale któż ci ją wykarmi?

— Znam we wsi poczciwego wieśniaka, żona jego karmi synka, ale ma dość pokarmu, może pokarmiać i tę dziewczynkę....umieszczę ją u nich czasowo.

— Rób jak chcesz, poczciwy Coursegol'u, niech więc Dolores będzie twoją córką, a biedna jéj matka niech spoczywa w pokoju.

Po odejściu margrabiego, Coursegol przykrył prześcieradłem martwe zwłoki. Tipolety, i ukląknąwszy przed zawieszonym na ścianie obrazkiem Matki Bożej, modlił się za nią i za małą sierotkę. któréj miał zostać ojcem.

Zamek Chamoudrin nie sięgał zbyt odległéj starożytności, bo dopiero wiek liczył istnienia. Dawniéj stał w tem miejscu wielki, obronny zamek, wystawiony jeszcze za czasów feodalnych, ale opuszczony i niezamieszkany, groził ruiną, został więc rozebrany i ani śladu nie pozostało z jego wieży, wałów i zwodzonych mostów. Gmach zamieszkiwany przez margrabiego, był to obszerny czworoboczny budynek jednopiętrowy, z płaskim dachem tworzącym tarasy otoczone balustradą. Plan gmachu był bardzo prosty, ale kolor cegły użytej do jego budowy, delikatne filary wspierające drzwi i okna, wykończona ich forma, cztery piękne pawilony umieszczone po rogach, nadawały całéj budowli jakąś wspaniałą i okazałą postać, i dla tego mieszkalny pałacyk margrabiego był powszechnie nazywany zamkiem, odziedziczając ten tytuł po swym w gruzy rozsypanym poprzedniku.

Zamek ten stał na szczycie najwyższego wzgórza, panującego nad okolicą i całą doliną Gardońską, ogród zaś, jego park, winnice, łąki i pola roztaczały się z przeciwnej strony na rozległéj równinie. Oto wszystko co stanowiło dziś cały majątek margrabiego de Chamoudrin, którego ród był najznakomitszym i najdawniejszym w całéj Langwedocji i Prowancji. Kiedyś było inaczéj, przodkowie margrabiego tak wielkie posiadali fortuny, iż w całym kraju weszło w przysłowie: Bogaty jak Chamoudrin!

Był czas że znakomita owa rodzina posiadała ogromną liczbę dóbr, zamków, pałaców, opactw i wasali, a dochody tak wielkie, iż przez kilka wieków z kolei najpierwsze zajmowała miejsce na dworach Prowancji i Francji. Dopiero za dziada i ojca margrabiego, świetny ten ród zaczął nagle chylić się do upadku, a ogromne majątki jak mgła się rozwiały. Obaj byli nadzwyczaj rozrzutni i marnotrawni; mieszkali w Paryżu i odgrywali główne role we wszelkich ówczesnych hulankach, zbytkach i szaleństwach. Dziad dzisiejszego margrabiego był nieodstępnym towarzyszem burzliwéj młodości Filipa Orleańskiego. Wolne, wyuzdane życie i gry hazardowne, zniszczyły go na majątku, nadwerężyły zdrowie i młodym jeszcze wpędziły do grobu.

Syn nie korzystał ze smutnego przykładu ojca. Został kolegą i przyjacielem regenta, a chcąc odzyskać niebacznie zmarnowany majątek, posłuchał namów Lawa i rzucił się w rujnujące spekulacje, mające sprowadzić straszną rewolucję.

Zamiast spodziewanych miljonowych zysków, do reszty stracił majątek, zadłużył się w Paryżu na znaczne bardzo summy, i wyjechał do Chamoudrin, w nadziei że tym sposobem uniknie natrętctwa wierzycieli. Ale i oni umieli sobie radzić; podali skargę do króla i pozyskali pomoc i poparcie osób tak wpływowych, iż Ludwik XV który właśnie wtedy wstąpił na tron, rozkazał oznajmić margrabiemu, iż jeśli w przeciągu trzech miesięcy nie zapłaci swoich długów, zostanie uwięziony w Bastylji. Widząc, że nie ma innéj rady, margrabia sprzedał dobra, zaspokoił wierzycieli, i został tylko przy pałacu Chamoudrin i należących do niego gruntach, które mały bardzo przynosiły dochód. Dla magnata przyzwyczajonego do szalonych zbytków, była to najstraszniejsza nędza, i cios ten spotkał go właśnie w chwili, gdy żona jego umarła wydając na świat syna.

Życie jakie dotąd prowadził margrabia, nie mogło wyrobić w nim hartu duszy i nauczyć walki z cierpieniem i przeciwnościami; upadł zupełnie na duchu i jakby zamknął się w swym pałacu. Pozbawiony zbytku, zabaw i uciech do jakich nawykł. zdala od przyjaciół, którzy teraz zupełnie o nim zapomnieli, uskarżał się na los, niebo i ludzi, stał się dzikim mizantropem i najstraszliwszym dziwakiem. Tak przeżył lat dwadzieścia; patrzył obojętnie na dorastającego syna, który smutnie spędzał młodociane lata, a całe wykształcenie swoje zawdzięczał przychylności światłego kapłana, proboszcza z sąsiedniéj wioski. Umarł nareszcie w roku 1765, w ciągu tego ośmnasto-letniego slulecia, którego pierwsza połowa tak zgubną była dla jego rodu.

Syn jego, margrabia Hektor, obecny posiadacz zamku, w dwudziestym-pierwszym roku życia odziedziczył znakomite nazwisko głośne na dworach europejskich i wsławione na placu boju, pałac Chamoudrin i pięć tysięcy franków dochodu. Z natury łagodny, poważny i przywykły przedstawać na małem, umiał zastosować się do swego położenia. Zbadawszy je wszechstronnie, postanowił stanowczo nie szczędzić starań i ofiar mogących domowi jego dawną wrócić świetność. W dwa lata po śmierci ojca, pokochał i zaślubił młodą i piękną dziewicę, córkę ubogiego szlachcica, któréj ciche domowe cnoty, zapewniały mu szczęśliwe pożycie i pomoc w wykonaniu zamierzonego przedsięwzięcia.

W kilka dni po ślubie rzekł do żony:

— Kochana Edmo, zostając moją żoną, weszłaś do rodziny niegdyś jednéj z najbogatszych i najznakomitszych, którą od lat czterdziestu los ciężko prześladuje, a dziś tylko ceną wielkich ofiar zdołamy ród nasz podźwignąć z upadku, i chyba dopiero dzieci nasze zbierać będą owoce naszych trudów. Miejmy więc odwagę do największych poświęceń, a myśl, że składamy cegiełki na odbudowanie wspaniałego gmachu dawnéj świetności i potęgi naszego domu, niech nam będzie pociechą i siłą. Da Bóg, dzieci nasze uwieńczą nasze dzieło i ród Chamoudrinów dawną odzyska wielkość. Liczę na ciebie, ukochana moja, że wszelkiemi siłami przykładać się będziesz do urzeczywistnienia moich nadziei; będziem pracować wspólnie, odmawiać sobie wszystkiego oszczędzać, zbierać, dla nagromadzenia funduszu aby gdy najstarszy syn nasz dorośnie, miał o czém, jechać do stolicy i udać się na dwór królewski, w celu zjednania sobie łaski i przychylności monarszéj, stanowiącéj dziś jedyną, ostatnią naszą nadzieję.

— Bądź spokojny, Hektorze, zawsze i we wszystkiem stosować się będę do twojéj chęci i woli.

W pierwszych zaraz dwóch latach po ślubie, Bóg dał im syna i córkę, a przytém urodzaje były tak prześliczne i zbiory tak obfite, iż dość znaczną stosunkowo sumkę mogli odłożyć na schowanie. Dotąd wszystko się jakoś dobrze wiodło, i młode małżeństwo szczęśliwą wróżyło sobie przyszłość. Wprawdzie pędzili życie bardzo ciche i monotonne; długie zimowe wieczory wlokły się leniwie, ale kochali się bardzo, margrabina była pracowita, dobra i niewymagająca, margrabia nie próżnował nigdy, czytał wiele, polował i zajmował się gospodarstwem jak prosty fermier, a margrabina nie wstydziła się doglądać kuchni i spiżarni.

Tak upłynęło lat cztery; dzieci chowały się zdrowo, Filip był piękny i rozkoszny chłopak.

— Będzie z niego dzielny młodzian, mawiał margrabia, gdy pojedzie na dwór królewski zwróci na siebie oczy wszystkich; król zrobi go pułkownikiem, kobiety szaleć za nim będą, a nareszcie ożeni się z jaką bogatą dziedziczką wysokiego rodu. Co zaś do Marty, jeśli się jéj nie trafi jakie świetne zamęcie, wstąpi do klasztoru i zrobimy ją ksienią.

Margrabina słodkim uśmiechem potwierdzała zamiary i nadzieje męża, aż niezadługo nieprzewidziany okropny wypadek, zniweczył w połowie te piękne nadzieje, i spokojną dotąd rodzinę w strasznéj pogrążył rozpaczy.

Młodziutka Marta nagle straciła siły i zmizerniała do niepoznania; zatrwożeni rodzice zawezwali najbliższego lekarza, który staranną bardzo przepisał kurację, zapewniając zarazem, że dziecię może zupełne odzyskać zdrowie. Troskliwi rodzice dzień i noc czuwali nad chorą: mimo tego dziecię nikło z dniem każdym, i wreszcie duch jego uleciał w krainy wieczności.

Niepodobna opisać boleści ojca i strasznéj rozpaczy nieszczęśliwéj matki. Daremnie margrabia tłumiąc własne cierpienie, starał się uspokoić żonę, dostała gwałtownéj gorączki, przez parę tygodni była między życiem a śmiercią, a gdy nareszcie cokolwiek odzyskała siły, pokazało się że cierpiała pomięszanie zmysłów.

Zrozpaczony margrabia sprowadzał doktorów z Awinionu, z Nîmes, z Montpellier i ci po długich naradach uznali, że to spokojne pomięszanie gorsze jest od gwałtownego szaleństwa i nie robili żadnéj nadziei wyleczenia. W przeciągu paru tygodni biedna Edma wychudła, chodziła po domu blada, z obłąkanym wzrokiem, szukając wszędzie i w każdym napotkanym przedmiocie upatrując utraconą córkę.

Te straszne ciosy, które jak gromy uderzały w serce margrabiego, podkopały i jego zdrowie; zachorował ciężko, miesiąc nie podnosił się z łoża boleści i długo pasował się ze śmiercią. Wierny, przywiązany Coursegol, dzień i noc nie odstępował ukochanego pana. Szczęściem margrabia był młody i silny, przetrzymał kryzys choroby, a myśl że w razie jego śmierci mały Filip pozostałby sierotą, a nieszczęśliwa Edma bez żadnéj opieki, pokrzepiała jego siły. Po kilku tygodniach wrócił do zdrowia.

Właśnie w rok potem Tipoleta zadzwoniła do bramy zamkowéj, polecając opiece margrabiego maleńką swoją córeczkę.

Pomodliwszy się za duszę nieszczęśliwéj cyganki, Coursegol wziął na ręce małą Dolores, i wyszedł z nią na dziedziniec, wołając:

— Paniczu! paniczu!

Filip bawił się pod nadzorem staréj piastunki; liczył wtedy pięć lat. Posłyszawszy wołanie Coursegol'a, pobiegł do niego natychmiast. Gęste zwoje czarnych włosów ocieniały śliczną jego twarzyczkę; bystre błyszczące oczy, zdradzały żywe pojęcie.

— Patrz, panie Filipie, jaka śliczna dziewczynka, rzekł Coursegol, pokazując mu Dolores.

— Taka duża lalka! zawołał klaszcząc w dłonie.

— Lalka, ale żywa; teraz już umie krzyczeć, a potem będzie mówić i bawić się z paniczem.

— A kiedyż to będzie?

— Jak urośnie.

— To zrób tak żeby prędko urosła! zawołał malec, i wziąwszy Coursegol'a za rękę pociągnął go do izby czeladnéj, aby pokazać domownikom piękną laleczkę.

Gdy weszli do izby, cała czeladka zaczęła się przyglądać śpiącéj Dolores, a Coursegol opowiadał jakim sposobem dostała się do pałacu. W tem margrabina nagle stanęła w progu izby czeladnéj. Od czasu rozwinięcia choroby miała oddzielną służącą, która ani na krok jéj nie odstępowała. Cały dzień chodziła po pałacu, nie poznawała nikogo, nawet męża i syna, płakała lub czasem śpiewała jak przy kolebce. Gdy weszła do izby, wszyscy rozstąpili się z uszanowaniem.

Serce się rozdzierało, patrząc na tę piękną i młodą kobietę, któréj wzrok, ruch, włosy rozrucone i ubiór w nieładzie, nadawały postać jakby statuy marmurowéj. Szła zwolna i ostrożnie, niosąc na ręku szczapę drzewa, którą tuliła do piersi i huśtała lekko jak gdyby chciała uśpić dziecię, przyśpiewując mu zarazem cichym i smętnym głosem. Wtem nagle stanęła, odrzuciła drewno ze wstrętem, i zalewając się łzami zaczęła szukać w około, upatrując nowego przedmiotu złudzenia.

Wszyscy świadkowie téj bolesnéj sceny, spoglądali na biedną obłąkaną z przerażeniem i litością; przestraszony Filip tulił się do Coursegol'a. Margrabina przeszła koło niego, spojrzała, i smutnie potrząsając głową wyszeptała:

— To nie to co ja szukam!...

Nagle znowu stanęła jak wryta; w téj chwili postrzegła śpiącą Dolores, którą Coursegol trzymał na ręku. Wytężyła wzrok i tak bystro przypatrywała się dziecku, iż widząc to, szczególna myśl zrodziła się w umyśle wiernego sługi.

— Ach! może Bóg ulituje się nad nami! zawołał; ustąpcie wszyscy i zabierzcie panicza, a poproście tu pana margrabiego.

Czeladź opuściła izbę, margrabina ciągle stała nieruchoma; wtedy Coursegol położył dziecko na ławce stojącéj pod ścianą, i wyszedłszy po cichu stanął pod oknem, zkąd niewidziany mógł widzieć wszystko. Margrabia przybył niezwłocznie.

— Ah! panie margrabio, zawołał Coursegol, zdaje mi się, że Bóg natchnął mnie myślą która uratuje panią margrabinę,—ale, dodał smutnie, jeśli sposób ten się nie powiedzie, może zabić dziecko.

— Ach! cóżeś uczynił, zawołał margrabia przestraszony... Biegnij co prędzéj i zabierz dziecko...

— Już zapóźno, odrzekł drżącym głosem, patrz pan.

Przez kilka minut margrabina wpatrywała się w Dolores, poczem wyciągnęła do niéj ręce, i zbliżała się powoli, a twarz jéj i oczy wyrażały zarazem ciekawość, zadziwienie, przestrach i jakby nadzieję. Stanąwszy tuż obok, pochyliła się nad dzieciną i bystro zaczęła jéj się przyglądać, potém gorączkowym ruchem pochwyciła ją w objęcia, i przycisnąwszy do piersi zaczęła prędko uciekać. Uszedłszy tak ze dwadzieścia kroków, zatrzymała się na dziedzińcu, obejrzała na wszystkie strony, jakby chcąc się przekonać czy ktoś nie goni za nią. Margrabia i Coursegol z gorączkowym niepokojem śledzili jéj poruszenia. W tem margrabina gwałtownie przycisnęła dziecko do piersi, zaczęła je całować namiętnie, i po raz pierwszy łzy radości popłynęły z jéj oczu. W tejże chwili zobaczyła margrabiego, i silnym głosem zawołała:

— Hektorze! mężu mój! odnalazłam moją córkę!

Wzruszony niewypowiedzianie, margrabia poskoczył ku niéj; prędko zwróciła się do niego, i płacząc lub śmiejąc się naprzemian złamana gwałtownem wzruszeniem padła bez zmysłów w jego objęcia.

— Ocalona! zawołał Coursegol, w radosnem uniesieniu.

— Byćże to może! wyjąkał osłupiały margrabia, własnym nie wierząc oczom.

— Wszakże poznała pana margrabiego, mówiła do niego przytomnie,—ten objaw miłości żony i matki, dowodzi wyraźnie że obłąkanie ustało.

Przeniesiono margrabinę do jéj pokoju i położono na łóżku; zanim jeszcze odzyskała przytomność, Coursegol kazał przynieść kolebkę, postawić przy jéj łóżku i ułożył w niéj maleńką Dolores, poczem wsiadł na konia i pędem poleciał do Nîmes, przywołać doktora: Powrócił z nim za parę godzin; w ciągu tego czasu, Edma odzyskała przytomność, zaczęła w około niespokojnie szukać oczyma, a gdy jéj wskazano Dolores leżącą spokojnie w kolebce, błogi uśmiech zajaśniał na jéj ustach, zamknęła powieki, i tak leżała pół we śnie pół na jawie. Od czasu do czasu podnosiła się niece i pochylona nad dzieckiem przyglądała mu się z nieopisanym zachwytem, a usta jéj szeptały...

— Moja córka! moja córka!...

— Nie mam tu co robić, rzekł doktór, chora jakby cudem odzyskała rozum, dziś stan jéj nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa; trzeba tylko spokoju i opieki, a zupełnie odzyska zdrowie.

Jakoż od téj chwili margrabina widocznie przychodziła do zdrowia; siły wracały, czarny cień zasępiający umysł rozpraszał się codziennie; jak najpierw męża tak w parę dni później poznała syna i nareszcie nadeszła godzina, w któréj można jéj było bez obawy objawić okoliczności towarzyszące pojawieniu się w pałacu małéj Dolores i wszystkiego co potem zaszło. W niespełna trzy miesiące margrabina była zupełnie zdrowa i przytomna.

Pewnego poranku margrabia przywzwał Coursegol'a do swego gabinetu:

— Dałem ci Dolores, rzekł, ale oddaj mi ją teraz, wychowam ją jak córkę.

— Wprawdzie jest ona trochę i moją córką, ale chętnie oddaję ją panu, bo tym sposobem nie tracę jéj bynajmniéj, skoro zawsze będę z nią i przy niéj i oba równo kochać ją będziemy.

Margrabia podał mu rękę; odtąd córka biednéj cyganki nie była sierotą pomimo śmierci matki, gdyż pozostała w zamku Chamoudrin i pozyskała dwóch kochających ją opiekunów, i czułą opiekę dobréj jak anioł margrabiny.

III.

Dolores wzrastała szczęśliwa i spokojna; wszyscy ją kochali, pieścili, dogadzali jak gdyby rzeczywiście była ową Martą, któréj śmierć wprawiła margrabinę w obłąkanie. Filip de Chamoudrin był towarzyszem jéj zabaw i zawsze nazywał ją siostrą; margrabiego i margrabinę nazywała ojcem i matką, a oboje dzieci nie przypuszczały nawet, że są obcy dla siebie. Margrabia i Edma kochali i wychowywali ją jak córkę. Coursegol otaczał ją nieograniczonem przywiązaniem i szacunkiem należnem pańskiemu dziecku; cała służba zupełnie jednakowe okazywała uszanowanie Filipowi i Dolores, a nawet krewni i przyjaciele domu, lubili bardzo i pieścili dziecinę, któréj obecność wróciła zdrowie margrabinie.

Dolores była też tak rozkoszną dzieciną, iż niepodobna było jéj nie kochać. Ogromne jasno-blond włosy, wielkie czarne, głębokie i pełne ognia oczy, twarzyczka cudnie piękna i regularna odbijająca zarazem wyraz niewymownéj słodyczy i niezłomnéj energii i woli, głos nadzwyczaj słodki i dźwięczny, żywo przypominały matkę. Serce miała nad wyraz dobre i szlachetne, najpiękniejsze skłonności, wielkie pojęcie i żywą bardzo wyobraźnię. Margrabia uczył ją sam zarówno jak Filipa, i podziwiał jéj chęć do nauki, ogromne zdolności i nadzwyczajną pamięć. Serce jéj umiało oceniać i niezapominało nigdy najlżejszéj przysługi; dobra, łagodna, kochająca, gotowa do poświęceń, umiała pozyskiwać sobie przywiązanie wszystkich co ją otaczali.

(d. c. n.)

Opis do N. 31.

N. 1—3. Negliż poranny

Krój i opis w dodatku z krojami.

N. 4. Monogram odrysowany

wprost i odwrotnie do znaczenia bielizny lub t. p. Haft atłaskowy.

Litery tego rodzaju nie tylko służyć mogą do znaczenia bielizny, ale i do odrobienia jedwabiami kolorowemi lub jedwabiem tego co tło koloru z dodaniem nitki złotej, na tekach, pudełkach lub cygarnicach. Środek wówczas odrabia się atłaskiem, a obwódki i cugi ściegiem sznureczkowym, nitką złotą.

N. 5. Kokarda z dwoma końcami.

Na dwie kokardy przyszyte do sztywnego tiulu, potrzeba skośnego kawałka kolorowéj jedwabnéj krepy, mającego 10 centy. szerokości a 20 centy. długości, obrębionego na prawą stronę ściegiem krytym. Końce układają się także ze skosu; 4 cent. szerokiego a 44 cent. długiego, którego poprzeczne brzegi ścięte podług nitki mają 21 cen. długości. Strona skośna każdego końca odwija się na wierzch i układa odstająco; brzegi proste i skośne są oszyte koronką białą 3 cen. szeroką, na którą naszywa się koronkę czarną 2 cen. szeroką, którą na wywinięciach przecinać trzeba i naszywać od drugiéj strony, a to z powodu, ażeby zawsze była na wierzchu. Końce podwójnego lekko przewiązanego węzła przyszywają się do tiulu od spodu.

N. 6. Kokarda

z jednym końcem.

I tu kokardy są skośne na prawą stronę obrębione; potrzeba na nie skośnego kawałka krepy jedwabnéj, mającego 10 cen. szerokości a 70 długości. Jeden skośny koniec na 22 c. długości a 16 c. szerokości; do garnirunku użyta koronkowa wstawka i szlaczek 2 i 3 c. szeroki. Układ kokard i węzła dodanego z oddzielnego kawałka, wskazany na rysunku.

N. 7—10. Kapa

na poduszki albo serweta na stoliczek.

Haft na muślinie, gwiazdy i wstawki koronkowe lub szydełkowe.

Rozmiary kapy czyli pokrycia można powiększać dowolnie i zastosować do rozmaitych przeznaczeń.

Na wzorze figury arabeskowe są podkładane pod muślin perkalem i odziergane rzadko, cienkim jedwabiem czarnym. Deseń arabesek na arkuszu z krojami, Figura 27; na rozety koronkowe lub szydełkowe, które się wrabia ściegiem sznureczkowym lub dzierganym, łatwo dobrać wzór w ubiegłych numerach Tygodnika.

Muślin z pod rozet powinien być starannie wycięty. Wzór szlaku złożonego ze wstawek i pasa haftowanego na muślinie przedstawia N. 8. Pod N. 9 — 10 podane są próbki szlaczku szydełkowego do oszycia brzegów Wzory na- sze zastosowane są do małéj serwetki, na kapę większych rozmiarów, potrzeba odpowiednio powiększyć figury deseniu, rozszerzyć wstawki i szlaczek.

N. 9. Szydełkowy szlaczek

z listkami z pikotów.

Najcieńszą plecioneczkę (mignardise) obrabia się do góry słupkami i o. pow. (1 sł. 3 o. po.) z drugiéj strony plecioneczki robi się: * 5 pi. z 9 o. po. i 1 o. ści. złączonych w około 1 o. ści. potem 3 o. po., 3 o. ści przedzielane 1 o. po. w trzy po sobie idące pikoty, przy środkowym z nich daje się 1 pi. z 5 o. po., daléj 3 o. po. i powtarzać od * łącząc ze sobą boczne pikoty.

N. 10. Koroneczka szydełkowa

z ząbkami z pikotów.

Górne obrobienie jak u poprzedzającéj. Z drugiéj strony (mignardise) pierwsze obrobienie składa się z o. ści: dawnych w każde o pikotu i przedzielanych na przemian 1 o. ści. i 1 pi. z 5 o. po połączonych 1 o. ści. Drugi rząd stanowią zęby z 11 o. po. których przyrobienie widoczne na próbce. W obrobieniu trzecim daje się ciągle w każdy ząb 2 o. ści. przedzielone 1 pi. z 5 o. pod. i 2 o. powietrzne.

N. 11. Parawanik od wiatru.

Wyrzynanie i robota nakrapiana. Rycina 11 w N. 31 Ty. Mód.

Materjał: Liście zasuszone naturalne, sepja i dobry tusz chiński, 5 cienkich deseczek białych, mających 9 centy. szerokości a 21 długości, mała szczoteczka i grzebyk, pokost kopalowy, wstążeczka wązka orzechowa. Parawanik przeznaczony jest do osłaniania lampy palącéj się na wolnym powietrzu; wielkość jego może być stosownie do woli powiększoną.

Model składa się z pięciu skrzydeł związanych ze sobą za pomocą wstążeczek, przewlekanych przez dziurki na ten cel naumyślnie urządzonych. Każde drewniane skrzydełko od góry i od dołu jest w deseń ażurowy wyrzynane, a naśrodku przyozdobione malowidłem nakrapianem, czyli naturalnem. Dawniej już podawaliśmy opis tego rodzaju roboty, teraz więc tylko powtórzemy niektóre szczegóły.

Pojedyncze zasuszone liście trawy, kwiaty i motyle układa się zręcznie na deszczułce i przytrzymuje starannie małemi śpileczkami, pamiętając ażeby nie robić w deseczce dużych dziurek. Potem w sępij lub tuszu rozrobionym nie zbyt gęsto, macza się szczoteczkę i nakrapia całą powierzchnię równo, przeczesując i otrząsając szczoteczkę grzebykiem, do czego potrzeba koniecznie posiadać wprawę i zręczność, ażeby kropelki spadały drobniutkie i równe jak mgła. Takie nakrapianie dotąd się powtarza, dopóki cała deseczka nie jest nim równo dość ciemno pokryta.

Od starannego wykonania, zależy cała piękność roboty. Następnie odejmuje się liście i kwiaty i obwodzi ich kontury piórem w tuszu umaczanem, rysuje się nim żyłki i ogonki, zachowując potrzebne stopniowanie cieni. Nakoniec całe deseczki politurują się lub lakierują białym kolorem.

N. 12—13. Garnirunki

do sukienek pikowych dla dzieci

N. 14. Garnirunek z muślinu,

koronek i haftu.

Opis podamy przy ryc. 6 i 15 w N. 32 Tygodnika.

N. 15 i 16. Opisy na arkuszu z formami.

N. 17. Deseń

na poduszeczkę toaletową, przykrycie lub dno do koszyczka, wyszyty kolorowemi kordonkami ściegiem długim i sznureczkiem złotym.

Na tle z czarnego, białego lub kolorowego rypsu jedwabnego, albo z dobréj wełnianéj materyi, wyszywa się deseń kordonkami kolorowemi i złotym sznureczkiem. Na tle białem lub czarnem środkowa gwiazda robi się jedwabiem pąsowym do cieniu i sznureczkiem złotym. Brzegi 8-miu pojedynczych liści obrabia się ściegiem sznureczkowym kordonkiem niebieskim; żyłki środkowe nitką złotą. Pasek 8 miokątny pod liściami, składa się z prążków robionych naprzemian kordonkiem zielonym i cienkim sznureczkiem złotym, z którego także dają się podłużne przepięcia. Brzeg małych, narożnych medaljonów obrobiony jest kolorem białym i niebieskim, a kratka między prążkami nitką złotą. Środek zapełniają figury zielone i złote, a małe dwie zewnętrzne gwiazdeczki są pąsowe. Sznur złoty, czarnym kordonkiem przeszywany, stanowi granicę wewnętrzną szlaku; krata w nim jest z zielonego kordonku, połączona krzyżykami złotemi, a muszki pąsowe. Brzeg obrabia się



N. 1—3. Ubrania ranne z plecami fałdowanemi. Krój i opis na arkuszu z formami N. 1. Fig. 1—4a. Krój peleryny Fig. 38.

Fig. 56. Połowa górnejczęści wyrzynania na drzewie.

Fig. 57. Połowa dolnego wyrzynania.

ściegiem sznureczkowym, kordonkiem orzechowym lub białym, a ząbeczki złotem lub kordonkiem różowym.

N. 18. Szlak

do kostiumu płóciennego lub bastowego.

Haft płaski i ścieg dziergany.

N. 19. Szlak

haftowany i wyszyty sutaszem do rannego ubrania ryc. 2.

N. 20. Szlak

do ryc. 37 w N. 32 Tygodnika.

Haft podkładany, ścieg łańcuszkowy, supełkowy, przewlóczony i dziergany.



N. 5. Kokarda z dwoma końcami, do kołnierzyka.

N. 21—31. Chusteczka ze szlakiem

koronkowym, naśladującym koronkę prawdziwą.

Chusteczka taka otrzymała pierwszą nagrodę, na konkursie robót, ogłoszonym przez Redakcją Berlińskiego żurnalu, Modenwelt. Właścicielce jej, udało się obmyśleć robotę, nie zbyt pracowitą stosunkowo do piękności, a naśladującą dokładnie dawne prawdziwe koronki, tak niedostępne dla swej wygórowanej ceny. Podajemy szczegółowy opis tej roboty nowej i nie zbyt trudnej. N. 21 przedstawia wykończoną chusteczkę ułożoną na poduszce. N. 22 daje szlak boczny a N. 23 narożnik, podług których dopasować trzeba deseń na cztery strony, odpowiedni środkowemu kwadratowi batystu, miary 30—32 centymetrów. Cały materjał stanowią nici Taylor zwane N. 5, 60 i 100, i kawałek ceraty na której naszywa się perkal glansowany zielony z narysowanym deseniem. W miejsce tasiemeczki lub plecionki koronkowej, używanych przy koronce irlandzkiej, kształty figur oznacza się cieniutkim sznureczkiem kręconym z trzech nitek; środek ich zapełnia się ściegiem dzierganym i kratkami. N. 24—31 przedstawia w bardzo znacznem powiększeniu użycie i wykonanie ściegów, wraz z właściwem zastosowaniem do pojedynczych części deseniu. Gdyśmy już deseń na perkalu glansowanym odrysowali i bardzo gładko do ceraty przyszyli, zaczniemy robotę koronki, od starannego naszycia sznureczka. Sznureczek ten skręca się przy naszywaniu z 3 nitek Taylor N. 5, trzymanych między wielkim i wskazującym palcem lewéj ręki i zakręcanych w miarę przyszywania, od ściegu do ściegu. Ściegi przyszycia dla jasności opisu oznaczone są kolorem czarnym. N. 24 przedstawia jeden z pięciu listków, stanowiących środek trzech dużych kwiatów narożnika; listki te jak widzimy spoczywają na tle zapełnionem kratką, robioną tam i napowrót ściegiem dzierganym. Zewnętrzny brzegi sznureczka, oznaczającego pięć okrągłych zębów kwiatu, obrobiony jest ząbkami koronkowemi, które odrabia się nicią N. 100. Robota ząbków wskazana wyraźnie na próbce N. 31.



N. 4. Połączone litery odrobione wprost i odwrotnie na teki torby podróżne lub t. p. Ścieg atłaskowy.

Przy 1szym obrobieniu kratki w liściu środkowym, dodaje się pojedynczą nitkę N. 5, która na rysunku oznaczona jest kolorem czarnym.

Drugie obrobienie wykonywa się bez dodania téj nitki, tylko ściegi zajmują się za oczka wraz z nitką poprzednią. N. 25 przedstawia stopniowe zapełnianie mniejszych kwiatków, złożonych z 5ciu okrągłych listków i środkowego kółka. Tu listki obrabiają się zwykłą koronkową kratką, środkowe zaś kółka dla większéj sztywności są kilka razy obrzucone i dopiero gęsto odziergane. Przy 5cio listnym kwiatku znajdują się w narożniku 2 czterolistne kwiatki, środek w nich taki sam jak w poprzedzających; kratka zaś zapełniająca listki, odrabia się w nitce dodatkowéj, sposobem na próbce N. 26 wskazanym. N. 27 wskazuje wykonanie liści ażurowych, których brzeg jest gęsto z dodaniem nitki odziergany a środek zapełniony kratką naśladującą żyłki. Na rysunku podany jest tylko sposób wywodzenia, koło którego daje się ściśle dzierganie.

N. 28 przedstawia liść oprócz żyłek kratką cienką zapełniony i odznacza linije nitek służących za podłożenie do kratek dzierganych, stanowiących tło koronki.

N. 29 naucza wykonania liści matowych i korzonków N. 30 listków zapełnionych kratką, a N. 31 przedstawia przezroczystą arabeskę w kształcie S. Ponieważ wykonanie chusteczki, mogą przedsiębrać tylko osoby nader w robotach wprawne i zręczne, dla tych więc powyższy opis będzie dostateczny. Dodamy tylko że kratki stanowiące tło robią się niemi najcieńszemi, a dzierganie i żyłki N. 60.



N. 6. Kokarda do kołnierzyka z jednym końcem.

Opis N. 32.

N. 1, 4 i 16. Ubranie

dla dziewczynki od 7 do 9 lat.

Sukienki przedstawione na ryci: 1 i 4 są jednakowego kroju N 1 odrobiony jest z jasno popielatej alpagi; garnirunek składa się ze skośnej mało nadmarszczonej falbany 5 centy: szerokiej i z pliski podwójnej 3 cen: szerokiej, w górze wypustką zakończonej. Przy tiunice i spódnicy podanej osobno pod N. 16, pliska jest potrójna i ma 5 cen: szerokości. Stanik z baskiną z przodu przystrojony patkami i zapinany na guziczki.

Spódniczkę i tiunikę wycina się w zęby okrągłe i obejmuje pliską skośną z piki pół cent: szeroką w drobną czarną kratkę.

Nad objęciem daje się wyszycie ze sznura lub sutaszubiałego, oprócz tego spódniczka i tiunika naszyta j e s t d w a razy białą torsadką i pół cent. szeroką lub takiemiż jak przy zębach pliskami. Stanik przykrojony podług Fig. 42 — 47, szyje się bez fiszbinów. Spódniczka ma bryt przedni kliniasto ścięty, boczne kliny i tylny bryt prosty. Dolna jéj szerokość wynosi 205, górna 160 cent. szerokości. Tiunika składa się z dwóch oddzielnych części, których forma znajduje się na Fig. 48—50, układ i podpięcie przedstawia dokładnie Ryc. 16, na któréj część tylna na przednią zachodząca umyślnie osobno odrzucona.

N. 2. Opis w dodatku.

N. 3. Sukienka

z wyciętym stanikiem i baskiną, dla małéj dziewczynki,

Krój jak do N. 7.

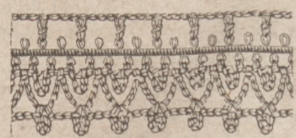
Sukienka z baskiną przyszytą do paska, jest z jasno niebieskiéj alpagi. Objęcie ząbków, plis, paska i kokard daje się z białéj alpagi lub fularu. Skośny wolant ma 10 cent. szerokości, plisy 3 cent., a zęby naszyte guziczkami z perłowéj konchy, 2 i pół centymetra. Takież ząbki przyszyte białą pliską, zdobią tiunikę, stanik i rękawy.

N. 5. Bluzka

z fałdowanym karczkiem i majteczki dla małego chłopczyka. Krój jak do ryc. 27 w N. 18 Tygodnika.



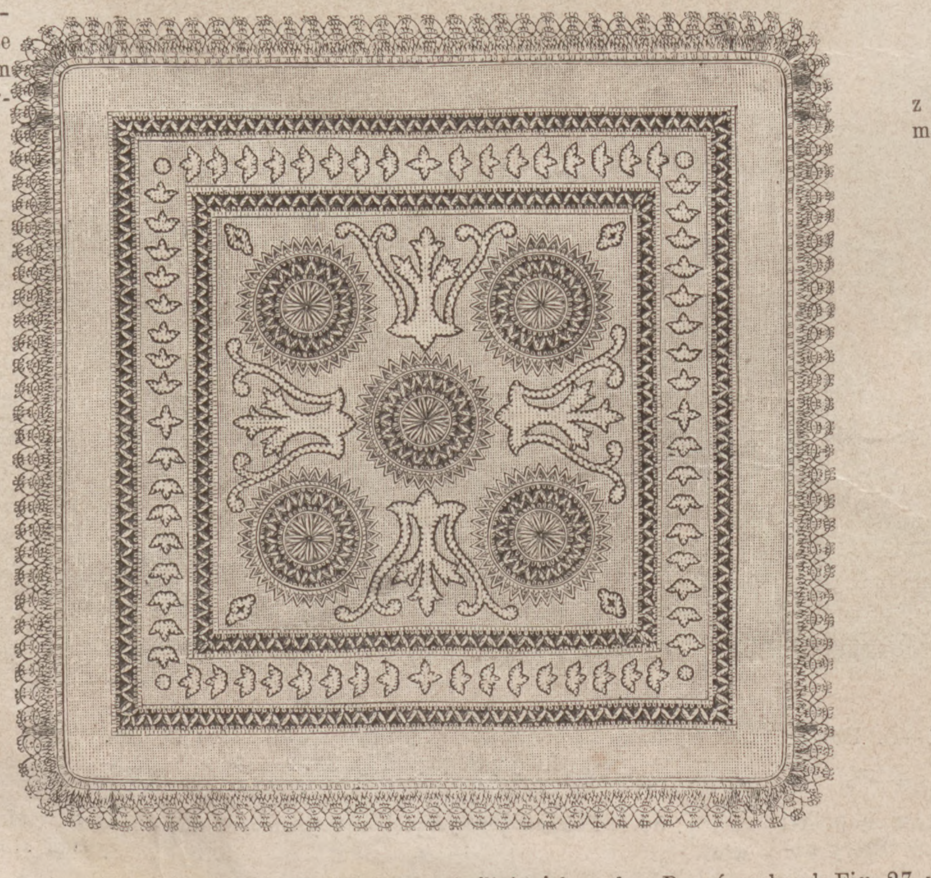
N. 9. Koroneczka szydełkowa do kapy ryc. 7.



N. 10. Koroneczka szydełkowa do kapy ryc. 7.



N. 8. Szlaczek brzeżny do kapy ryc. 7.

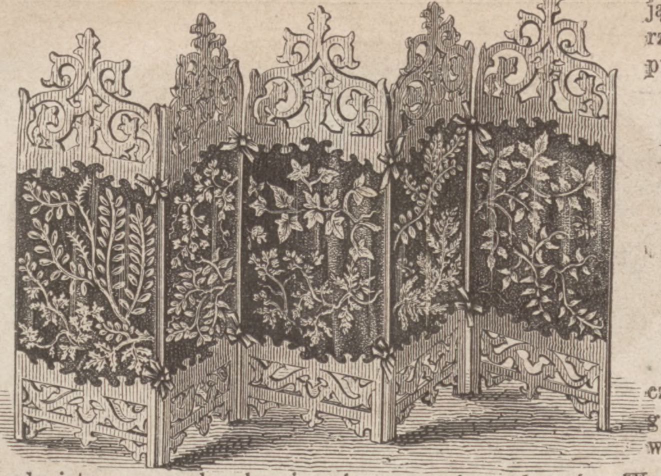


N. 7. Kapa na poduszki lub meble. Haft na muślinie i koronka. Deseń arabesek Fig. 27 na arkuszu z krojami próbka szlaku i koroneczek rysun. 8—10, rozety szydełkowe ryc. 29 — 30 w N. 32 Tyg. Mód.

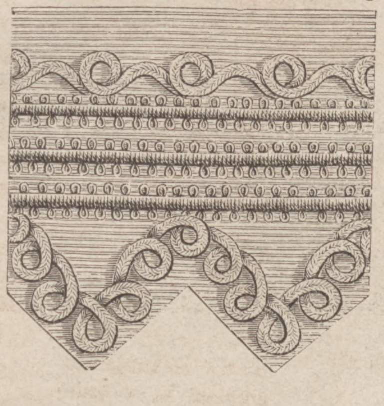
Model odrobiony jest z piki niewarowéj. Bluzka zapinana z przodu na spore guziki z perłowéj konchy, przypięta jest z przodu, z boków i z tyłu do majtek. Na te same guziki przypina się do bluzki fałdowana baskina, przyszyta do paska, którą układa się z kawałka prostego mającego 20 cent. szerokości, a 160 cent. długości. Wykrój pod szyją wszyty jest do okrągłego 2 i pół centy. szerokiego kołnierzyka. Białe pikowe pliski lub biała torsadka 1 cent. szoroka, stanowią garnirunek; środkowy obrąb bluzki, naszyty jest także pliską lub torsadką. Boczne rozporki u dołu majtek zapinane na 3 guziki.

N. 6. 15 i ryc. **14** w N. 31 Tygodnika. **Sukienka muślinowa** dla małéj dziewczynki, przystrojona haftem i koronkami.

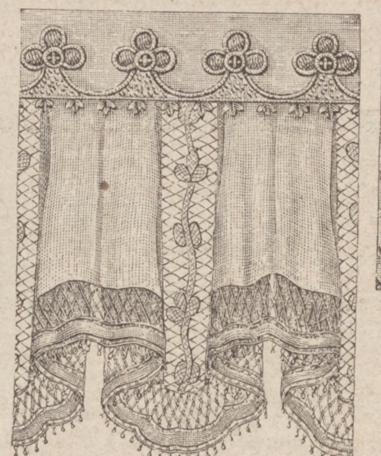
Koronka 3 i pół cent. szeroka, wstawka 2 i pół cent. wywodzona na tiulu i szlaczki haftowane około 2 cent. szerokości, zdobią garnirunek, którego układ wskazuje ryc. 6 i 15. Pasek, szarfy i kokardy na ramionach są z kolorowéj wstążki. Rycina 14 w N. 31 Tygodnika przedstawia układ garnirunku, w połowie naturalnéj wielkości, Napowietrzny w zęby wycięty wolant, złożony jest z kawałków muślinu 14 cent. szerokich, ułożonych w kontrafałdę zajmującą 4 i pół cent. i ze wstawek tiulowych mających 10 cent. szerokości, stanowiących najdłuższą część wolantu, który w najwęższym zagłębieniu ma tylko 5 cent. Nagłówek wolantu stanowi szlaczek haftowany. Spódniczka ma 42 cent. długości 122 cent. szerokości; tiunika na długość dochodząca do haftu nad wolantem, jest o 36 cent. węższa od spódniczki i wycięta u dołu w śpiczaste zęby, oszyte wstawką i koronką. Przedni bryt tiuniki jest u dołu zakończony zębem spiczastym mającym 24 cent. szerokości a 14 głębokości; zdobi go kilka rzędów naszyć wstawek i koronki. Brzegi wstawek na przednim brycie i na staniku pokryte są aplikacją haftu.



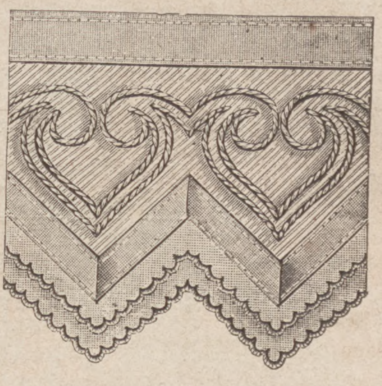
N. 11. Parawanik od wiatru, rysunek nakrapiany i wyrzynanie na drzewie. Wzory wyrzynania Fig. 56—57 na arkuszu z formami.



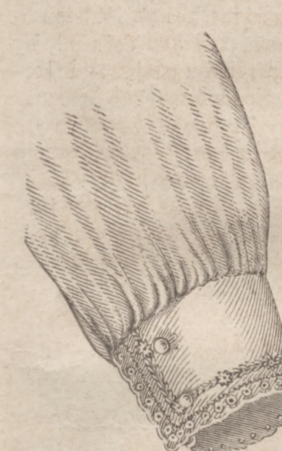
N. 12. Wyszycie sutaszem i plecioneczką mignardise na pice do sukienki ryc. 11—13. W N. 32 Tygodnika.



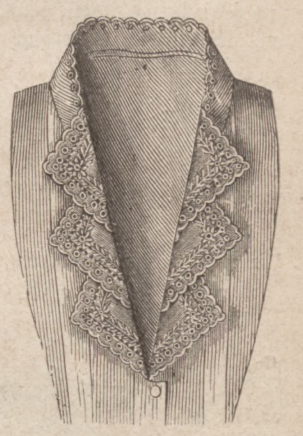
N. 14. Garnirunek do sukienki ryc. 6 w N. 32 Tyg. Kontrafałdy z muślinu, koronki i haft.



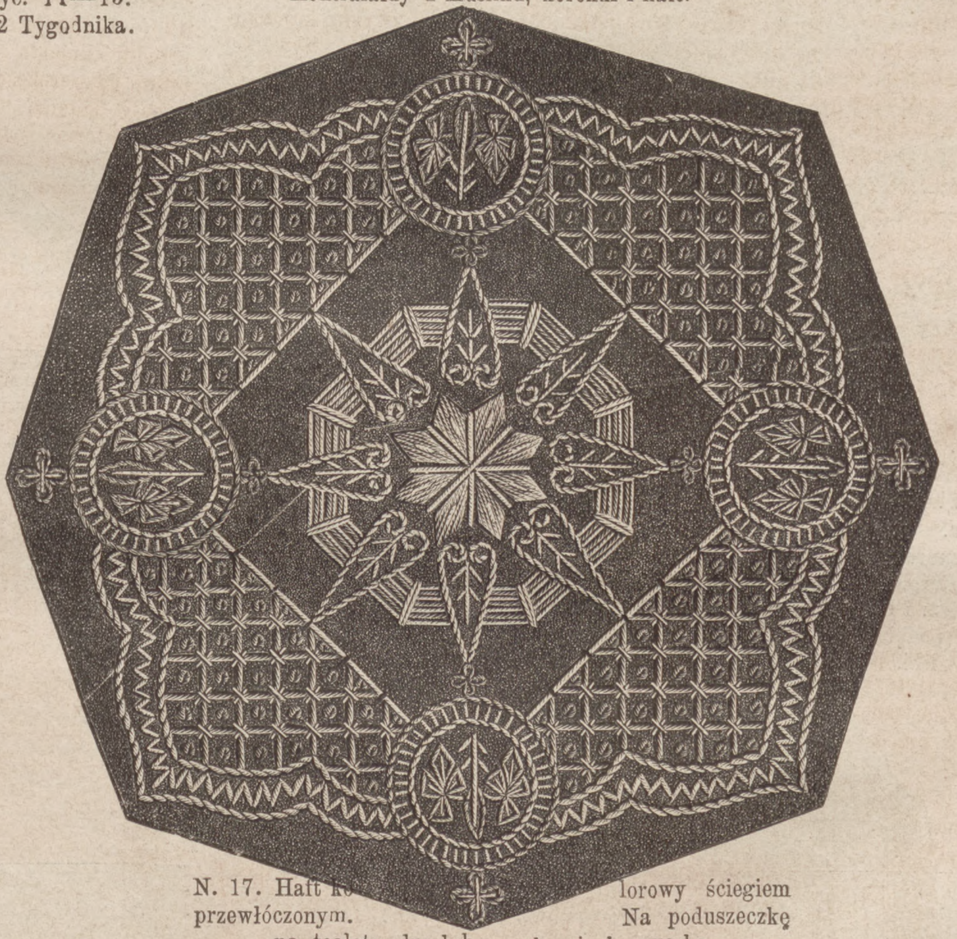
N. 13. Szlak do sukienki pikowéj rycina 4 i 7 w N. 32 Tyg. Ścieg sznureczkowy i dzierganie.



N. 15. Mankiet płócienny haftowany do kołnierzyka N. 16.



N. 16. Kołnierzyk z wykładanemi klapkami. Haft na płótnie. Mankiet N. 15. Opis, krój i deseń na arkuszu z formami N. II Fig. 5.



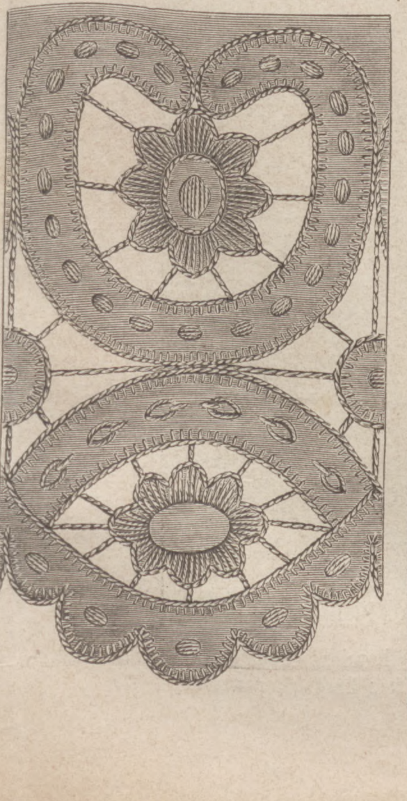
N. 17. Haft k... lorowy ściegiem przewłóczonym. Na poduszeczkę na toaletę, dno lub przykrycie koszyczka.

N. 7—24. Opisy i kroje w dodatku z formami.

N. 19 i 20. Dwa rękawy z zaszytemi fałdami Krój N. X.

Fig. 41 podaje formę na rękaw szeroki, wraz z oznaczonemi linjami rękawa zupełnie wązkiego, oraz zwężonego w górnej połowie i oznaczenie zaszycia fałdów. Rękawy na ry: 19—20 podane, służą do sukien lekkich lub do vêtement. Ryc: 19. Przedstawia rękaw cały szeroki, a w górnej części w 4, do siebie idące fałdy, założony, które z lewej strony zaszywają się wzdłuż nie znacznemi ściegami, a z prawej zdobią kokardami. Wzór jest z białego muślinu. Garnirunek stanowi prosty pas muślinu, 5 cen: szeroki, ułożony w zakładki, z obydwóch stron wązkim, haftowanym szlaczkiem i 3 cen: szeroką koronką oszyty.

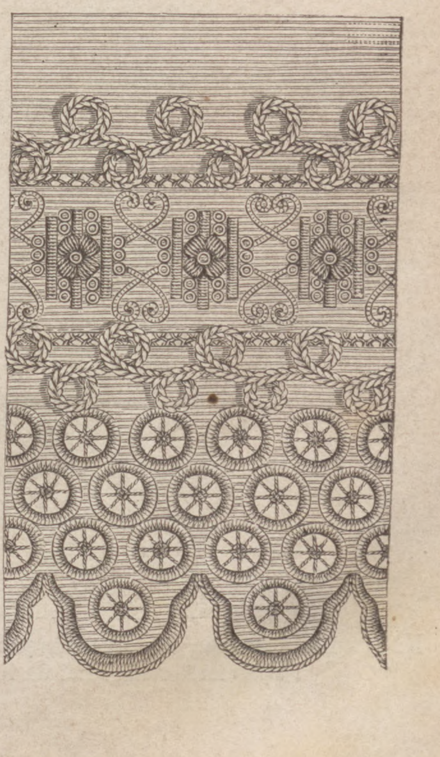
Rękaw na ryc: 20 przedstawiony kraje się także podług Fig: 41, następnie podług oznaczonej linii i rysunku Fig. 41b, wycina się z górnej szerokości; tak zwężony rękaw zeszywa od Y do Z a część dolną, szeroką marszczy, lub układa w małe fałdy od *—*, przyszywa do poprzecznie naciętego rękawka a szew zdobi rozetą ze wstążki i koronki. Garnirunek złożony jest ze wstawki koronkowej,



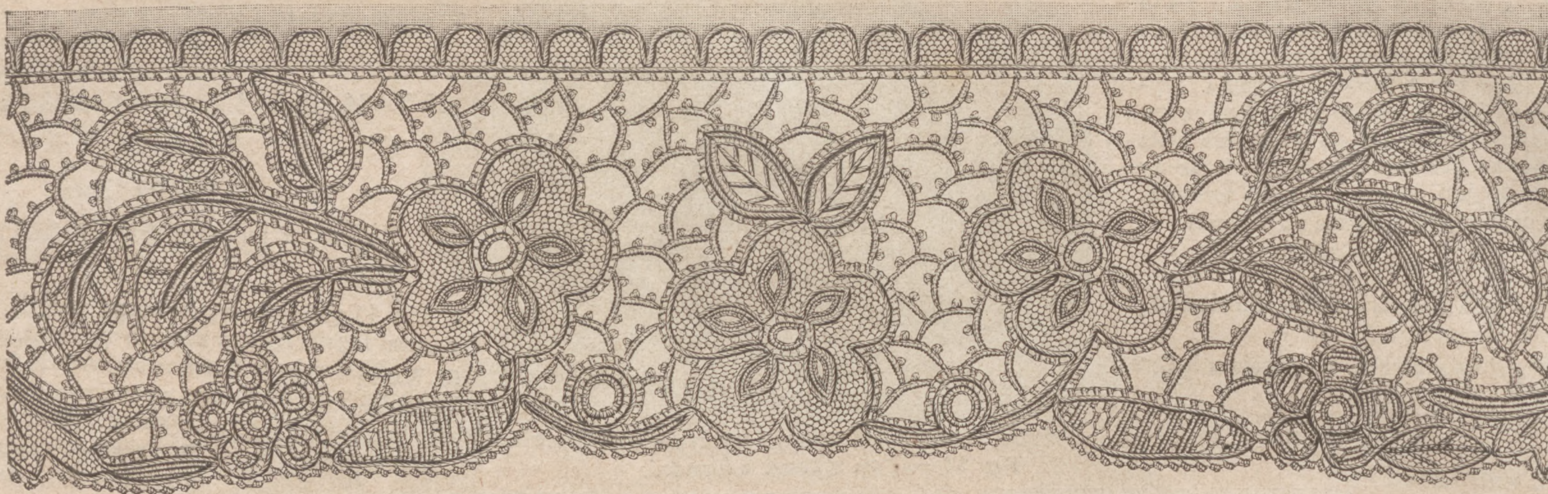
N. 18. Szlak do kostiumu ryc. 35 w N. 32 Tygodnika.



N. 20. Szlak do sukni muślinowéj ryc. 37 w N. 32 Tygodnika. Ścieg szydełkowy, łańcuszkowy, dziergany



N. 19. Szlak haftowany atłaskiem i wyszyty sutaszem



N. 22. Środkowa część szlaku do chusteczki od nosa N. 21.

której przyszycie pokrywa z obydwóch stron aplikacjia haftu; wyżej na fałdach naszyte pojedyncze aplikacjie; brzeg oszyty koronką 5 centy: szeroką.

N. 25—26. Dwa krzesła.

przenośne składane.

Siedzenia obydwóch składanych krzeseł urządzone są z taśmy grubéj; sztywnéj i szerokiéj, któréj pasy zeszywają się ze sobą; na tych pasach wyszyć można jaki łatwy deseń, jedwabiami lub włóczką kolorową.

N. 25. Krzesło damskie.

mogące bydź złożone jako teka do rysunków.

Wzory deseni do wyszycia ryc. 25—27. w N. 25 Tygod.

Dwie lekkie drewniane ramy, wchodzące po złożeniu jedna w drugą, stanowią podstawę stołka. Siedzenie urządza się z szerokiéj taśmy niewarowéj z pąsowemi brzegami; między tę taśmę wszywa się pasy przyozdobione kolorowem wyszyciem. Wybierając się na małe artystyczne wycieczki dla zdejmowania widoków, w złożone krzesło zabrać można tekę rysunkową i lekki mały pulpit. W tym celu przy przedniéj stronie krzesła znajduje się mosiężne uszko, w które pręt od pulpitu się wsuwa. Złożywszy krzesło i pulpit, ten ostatni wsuwa się u dołu między ramy i przytrzymuje 4-ma zasuwkami, na ten cel dodanemi.

Dalszy ciąg nastąpi w N. 32 dodatku.



N. 23. Narożnik do chusteczki N. 21. Ścieg koronkowy.



N. 24. Liść pojedyńczy od dużego kwiatu w narożniku. Kontur ze sznureczka. Ścieg dziergany z dodaniem i bez dodania podkładowéj nitki.



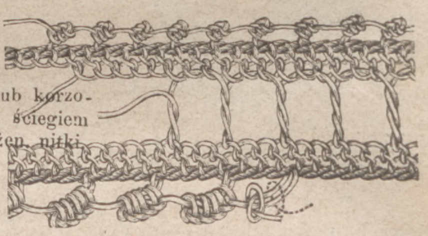
N. 29. Gałązka lub korzonek zapełnione ściegiem dzierg. z podłożen. nitki.



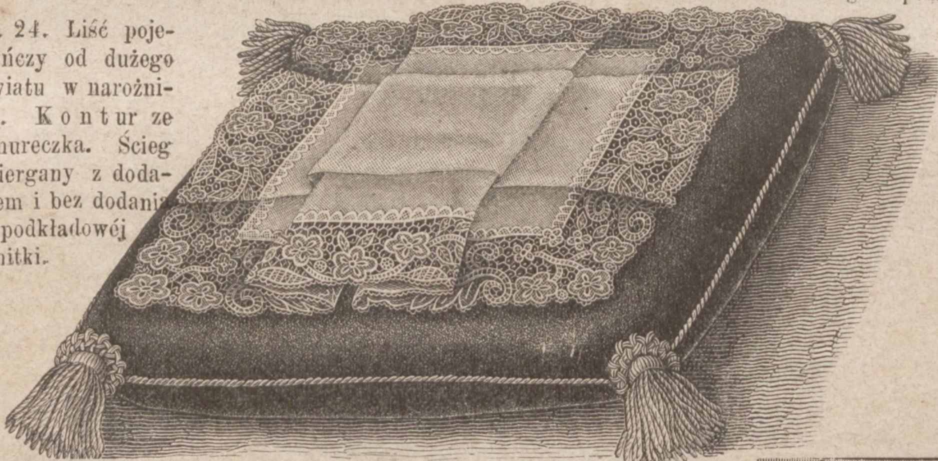
N. 30. Listek z kratką krzyżowaną do N. 21.



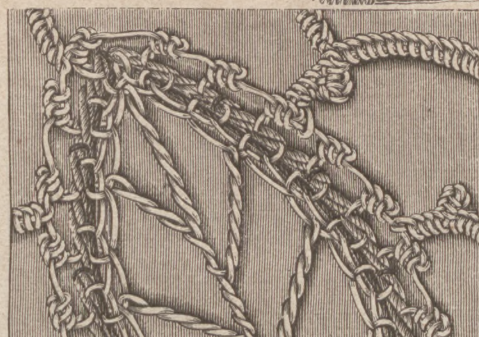
N. 26. Pojedyńczy listek do kwiatka 4o-listnego. Gęste dzierganie i kratka z podłożeniem nitki.



N. 31. Część arabeski. Dzierganie i ścieg koronkowy; brzegi obrobione większemi i mniejszemi ząbkami dzierganemi od lewéj strony.



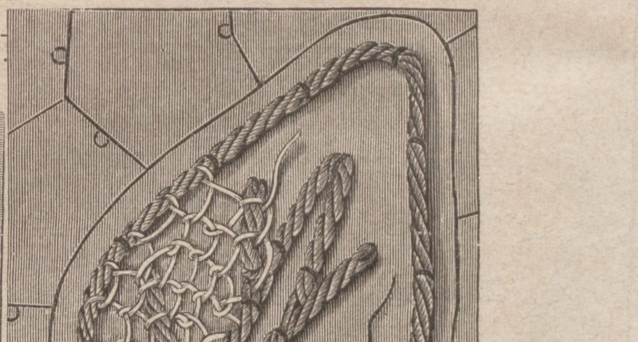
N. 21. Chusteczka ze szlakiem imitującym koronkę prawdziwą. Desen i próbki ściegów N. 22—51.



N. 27. Liść dziergany z kratką zakręcaną przezroczystą i ząbkami koronkowemi do N. 21.



N. 25. Kwiat o 5 listkach. Kółka gęsto dziergane i ścieg długi koronkowy do N. 21.



N. 28. Liść z żyłkami ze sznureczka zdwóch nitek tłem z kratki koronkowéj